№ 4(626) 2016
PISMO UKAZUJE SIĘ OD 1924 ROKU

ECHA LEŚNE

MAGAZYN PRZYJACIÓŁ LASU

PL ISSN 1230-0071

NASZ GOŚĆ

JA JESTEM LEŚNY CZŁOWIEK

Marek Piekarczyk, rockman o dobrym sercu

DZIKA POLSKA

A TO WYDRA!

Bystrzak nad bystrzaki

GŁOŚNYM ECHEM

EKO-NIBYLANDIA

Czesko-niemiecki przepis na świerk

TEMAT NUMERU

STRAŻNIK TAJEMNIC

Kruk – zwykły i niezwykły

Zdjęcie numeru

„HARMONIA LASU I ŚWIATŁA”

MARTA RUTKOWSKA

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW „ECH LEŚNYCH”

CZTERY PORY LASU – WEJDŹ NA INSTAGRAM I POZNAJ NOWE ZASADY.

Laureatką kolejnej edycji konkursu „Cztery Pory Lasu" została Marta Rutkowska i jej fotografia „Harmonia lasu i światła", wykonana w Ostrzycach, na Kaszubach. Zdjęcie – pomimo swojej pozornej prostoty – ukazuje dużą wrażliwość na światło i cień oraz na fakturę fotografowanego pleneru. W efekcie otrzymujemy obraz magiczny i niezwykły, hipnotyzujący oglądającego swoim mroźnym, nieziemskim klimatem.

A od nowego roku konkurs przenosi się na Instagram. Obserwujcie nasz profil na instagram.com/lasy_panstwowe. Wkrótce poinformujemy tam o nowych zasadach. Najlepsze zdjęcia nadal będziemy nagradzać i publikować w „Echach Leśnych".

PANI WRÓŻKA

Fot. Tomasz Zubilewicz

Widziałem się w swoim czasie z wróżką. Nie, nie poszedłem do niej z własnej woli i potrzeby – to było spotkanie służbowe, związane z szykowanym właśnie programem telewizyjnym.

Podróż w przyszłość rozpocząłem pytaniem: – Czy mogłaby pani pomóc naszym widzom? Bo ja mam informację o pogodzie na szesnaście dni do przodu, a oni na pewno już dziś chcieliby dowiedzieć się, jaka będzie zima – znośnie łagodna i krótkotrwała czy może długa i mroźna?

I choć potem mówiła już przede wszystkim pani wróżka, to do zadanego jej tematu jakoś nie nawiązała – może nie przykładała się w młodości do lekcji geografii i przyrody albo nie jeździła na szkolne wycieczki?… – Z góralami i leśnikami chyba rzadko ma pani kontakt… – skomentowałem nieśmiało, zaglądając jej w karty, z których to światła dama miała wyczytać przyszłość. – Bo, jak wiadomo, górale, leśnicy, no, może jeszcze rolnicy, z naturą obcujący na co dzień, wiedzą bardzo dużo o pogodzie…

Pamiętam jeden z moich pobytów w Beskidach. Przyjechaliśmy do Szczyrku przy bardzo jesiennej, mglistej i nieprzyjemnej aurze. Babcia góralka z Bieniatki przepowiadała w sobotę rano tak: – jak mgła kładzie się na pole i idzie na mżawkę, to za dwa dni będzie biało. I rzeczywiście, w poniedziałek solidnie sypnęło śniegiem, a w górach zawitała zima. Nie bez powodu sprawdzalność takich ludowych prognoz leży w granicach 60–70 proc.

Często jesienią, po tym, jak już zapoznam się z prognozami długoterminowymi, przygotowanymi przez światowe służby meteo, kontaktuję się ze znajomymi leśnikami z różnych części Polski i pytam, co podpowiada im przyroda o nadchodzącej zimie. I co słyszę?

Jeśli kret jest mocno ruchliwy i stawia kopce w ogrodzie – to znaczy, że zimy na razie nie ma co się obawiać. Jeśli to zwierzątko uspokaja się, schodzi głębiej i nie wyściubia nosa spod ziemi – w ciągu 3–4 dni nadciągnie zimne powietrze.

Znam nadleśniczego, który obserwuje ściółkę i czeka na jesienny wysyp borowików. Te letnie mają jasne kapelusze, jesienne – ciemniejsze. Jeśli pokażą się w październiku – zwiastują dłuższą i śnieżną zimę. Jeśli jesiennych borowików wcale nie ma – nie warto szykować sanek na zimę.

Jedni patrzą pod nogi, inni, przeciwnie, podnoszą głowy i wypatrują modrzewi – jakieś dwa tygodnie przed nadejściem chłodów szpilki na tych drzewach wyraźnie rudzieją i sypią się na ziemię.

Można też wróżyć z zachowania niedźwiedzia – jeśli jesienią żeruje szczególnie intensywnie, to szykuje się na długi sen – zima zapowiada się trudna. Osobiście jednak odradzam wyprawy śladem tego drapieżnika, by dowiedzieć co, gdzie i ile jada – lepiej i bezpieczniej będzie porozmawiać na ten temat z leśnikami.

Dla tych, którzy z różnych powodów nie chcą lub nie mogą wyjechać z miasta, użyteczne mogą okazać się niezadające trudu obserwacje domowe, a konkretnie kwiatka doniczkowego, kaktusa bożonarodzeniowego, popularnie zwanego grudniem. Na parapecie w moim domu miałem okaz tego gatunku, cechujący się doprawdy wybitną sprawdzalnością prognozowania. Kilka dni przed nadejściem skandynawskiej pogody na jego mięsistych, zielonych „listkach" (*de facto* to członowe pędy) niezawodnie pojawiały się różowe pąki. Nie lubił jedynie, jak się go przestawiało w inne miejsce. No cóż, on też chyba nie przepadał za wycieczkami.

Jaka zatem będzie najbliższa zima? Czy krety, borowiki, modrzewie i niedźwiedzie nie kłamią, i na ile sprawdzą się nasze dzisiejsze prognozy? Przekonamy się o tym w… marcu przyszłego roku. Aha, wrócę jeszcze na chwilę do pani wróżki, od której zacząłem mój wywód. Rozmowa coraz mniej się nam kleiła, wreszcie dama ucięła ją po tym, jak zapytałem: a kto w tym roku zdobędzie tytuł mistrza Anglii w piłce nożnej: Arsenal czy Manchester United? No, jak można było nie wiedzieć?!

— TOMASZ ZUBILEWICZ

str. 30

Nieuchwytna, zwinna, inteligentna.

SPIS TREŚCI

zima 2016

KWARTALNIK ECHA LEŚNE
dostępny jest bezpłatnie w siedzibach wszystkich nadleśnictw Lasów Państwowych, w ośrodkach edukacyjnych, szkoleniowych i wypoczynkowych LP, w siedzibach parków narodowych, oddziałach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego oraz schroniskach młodzieżowych.

CO SŁYCHAĆ?
5 — WIEŚCI Z LASU

NASZ GOŚĆ
8 — JA JESTEM LEŚNY CZŁOWIEK
Marek Piekarczyk, rockman o dobrym sercu

ZWIERZYNIEC
12 — STRAŻNIK TAJEMNIC
Kruk – zwykły i niezwykły
16 — TO NIE KRESKÓWKA
Taki słodki miś…
19 — CZYJA TO KUPA?
Zwierzę zostawia ślad

W ZIELONEJ SZACIE
22 — ŚWIĘTA PACHNĄCE CHOINKĄ
Tradycji zadość
25 — PRYMUS WŚRÓD DRZEW
Topoli wszędzie dobrze
28 — JAKIE TO DRZEWO?
Przyglądamy się pędom i pąkom

DZIKA POLSKA
30 — A TO WYDRA!

CZŁOWIEK I LAS
34 — PAPIEROWE DREWNO
Od papirusu do gazety
38 — PLUSK POŚRÓD LASÓW
Na książęcych stawach
42 — ZIMA LEŚNYCH LUDZI
Bieszczady A.D. 1961

ŻYCIE Z PASJĄ
46 — TAŃCZĄCY Z DRZEWAMI
Arborysta – kto to taki?

str. 54
Cuda Łuku Mużakowa.

GŁOŚNYM ECHEM
49 — EKO-NIBYLANDIA
Czesko-niemiecki przepis na świerk
53 — KONSEKWENCJE I NIEKONSEKWENCJE

CUDZE CHWALICIE
54 — BYŁY KOPALNIE, JEST POJEZIERZE
Cuda Łuku Mużakowa

W RYTMIE NATURY
58 — NIE BÓJ SIĘ ZIMY!

ŚWIAT Z DREWNA
60 — DUSZA I DŹWIĘK

EKO
62 — LECĄC Z ŁABĘDZIAMI
Ekspedycja z ważnym przesłaniem

Z APARATEM W KNIEJĘ
64 — ŚNIEG ODKRYWCA
Fotograficzne przygody

INSPIRACJE
68 — PRZYDAŁABY SIĘ… TRZECIA RĘKA
Z góry świat jest inny
72 — E-RYŚ

SMAKI NATURY
74 — KARP NIEŚWIĄTECZNY

ARCHIWUM
76 — Z ARCHIWUM „ECH LEŚNYCH”

str. 42
Biała katastrofa w 1961 r. w Bieszczadach.

Okładka: Fot. Łukasz Gwiździel

ECHA LEŚNE
kwartalnik bezpłatny

Wydawca:
Centrum Informacyjne
Lasów Państwowych
Dyrektor – Sławomir Trzaskowski

Redakcja:
Artur Rutkowski – redaktor naczelny
Krzysztof Fronczak – zastępca redaktora naczelnego
Mariola Kluczek – sekretarz redakcji

Stale współpracują:
Wojciech Gil, Bogumiła Grabowska, Krzysztof Kamiński, Tomasz Kłosowski, Edward Marszałek, Eugeniusz Pudlis, Sergiusz Sachno, Agnieszka Sijka, Tadeusz Zachara

Adres redakcji:
ul. Grójecka 127,
02-124 Warszawa,
tel. 22 185 53 53
e-mail: echa.lesne@cilp.lasy.gov.pl

Sekretariat:
Agnieszka Kuchta

Projekt, skład, fotoedycja:
Emilia Nyka

Druk:
Elanders Polska Sp. z o.o.

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do adiustacji i skracania artykułów. Nie odpowiadamy za treść zamieszczonych reklam.
Nakład: 21 tys. egz.

Fot. Wojciech Gil

WSPARCIE DLA PARKÓW

Ten rok okazał się wyjątkowo pomyślny dla polskich parków narodowych – Lasy Państwowe przyznały im, z przeznaczeniem na działalność statutową, 65 mln zł z funduszu leśnego.

Wsparcia finansowego udzielił też Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który zakończył konkurs na projekty modernizacji lub budowy ośrodków edukacji ekologicznej w parkach narodowych. Na ten cel przeznaczono ponad 40 mln zł z Programu Operacyjnego „Infrastruktura i Środowisko". Uznanie znalazło 12 wniosków. Rekordziści – Narwiański Park Narodowy i Tatrzański Park Narodowy – otrzymają na ten cel po ok. 8 mln zł. Trzeci na liście laureatów – Karkonoski Park Narodowy – na realizację swojego projektu uzyskał ponad 6 mln zł dofinansowania. /wg/

Fot. Wojciech Gil

EDUKACJA W LICZBACH

Ukazał się doroczny „Raport z działalności edukacyjnej Lasów Państwowych". Jak wynika z ostatniej jego edycji, w ubiegłym roku Lasy Państwowe prowadziły edukację leśną społeczeństwa w około 6,6 tys. różnych obiektów. Na tę infrastrukturę składa się m.in.: 65 ośrodków edukacji leśnej, 269 izb leśnych, 562 wiaty edukacyjne, tzw. zielone klasy, 1498 punktów edukacyjnych i 1635 innych obiektów wykorzystywanych w edukacji leśnej. Do dyspozycji jest 1011 ścieżek dydaktycznych, zlokalizowanych w najciekawszych zakątkach leśnych, 1882 punkty edukacyjne oraz baza noclegowa. Szczególną rolę w edukacji leśnej społeczeństwa odgrywa Ośrodek Kultury Leśnej w Gołuchowie, który organizuje stałe i okresowe wystawy przyrodnicze, plenery malarskie oraz imprezy edukacyjne dla dzieci i młodzieży.

W 2015 r. z różnego rodzaju form zorganizowanej edukacji leśnej skorzystało prawie 2,2 mln osób. Gdyby jednak dodać do tego festyny, wystawy, targi i różnego rodzaju imprezy interdyscyplinarne, uwzględniające w swych programach treści edukacji leśnej, to łączna liczba uczestników była jeszcze większa i przekraczała 3,5 mln osób. Liderami edukacji leśnej społeczeństwa są leśne kompleksy promocyjne (jest ich obecnie 25). To właśnie na ich terenie z różnych jej form korzysta trzecia część wszystkich biorących udział w zajęciach edukacyjnych prowadzonych przez leśników. /wg/

DZIEŃ KRAJOBRAZU

20 października po raz pierwszy obchodziliśmy Dzień Krajobrazu, szczególne święto, które ma zwrócić naszą uwagę na otaczającą przestrzeń, uświadomić rolę krajobrazu w naszym codziennym życiu: jak wpływa on na nasze samopoczucie, a nawet zdrowie, jak inspiruje i motywuje do działania.

Wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, kształtujemy krajobraz – np. urządzając balkon, ogród czy budując dom, sadząc drzewa, dbając o najbliższe otoczenie. To dobro wspólne – i właśnie tej refleksji ma służyć ów szczególny dzień. Święto już spotkało się z zainteresowaniem krajów-stron Europejskiej Konwencji Krajobrazowej. /wg/

Fot. Wojciech Gil

DOMEK DLA JEŻA

Smutny i częsty widok na naszych drogach – leżące na ich skraju martwe jeże. Te sympatyczne zwierzęta giną także w wyniku pożarów, jak również od trucizn stosowanych w rolnictwie na owady i ślimaki, stanowiące ich główne pożywienie. Na stan populacji jeży wpływają też niesprzyjające warunki klimatyczne zimą.

Fundacja Ekologiczna „Arka" wystartowała zatem z kolejną edycją akcji „Kup deskę". Wyjaśnijmy od razu, że chodzi o budulec na domki właśnie dla tych zwierząt. Na internetowej stronie akcji www.kupdeske.pl zamieszczono materiały edukacyjne i praktyczne wskazówki, jak samodzielnie wykonać bezpieczne, drewniane lokum dla jeża. Dzięki dobrowolnym wpłatom fundacja buduje kilkadziesiąt takich domków i ustawia je w wybranych placówkach oświatowych. Warto przypomnieć, że 10 listopada obchodziliśmy Światowy Dzień Jeża. /wg/

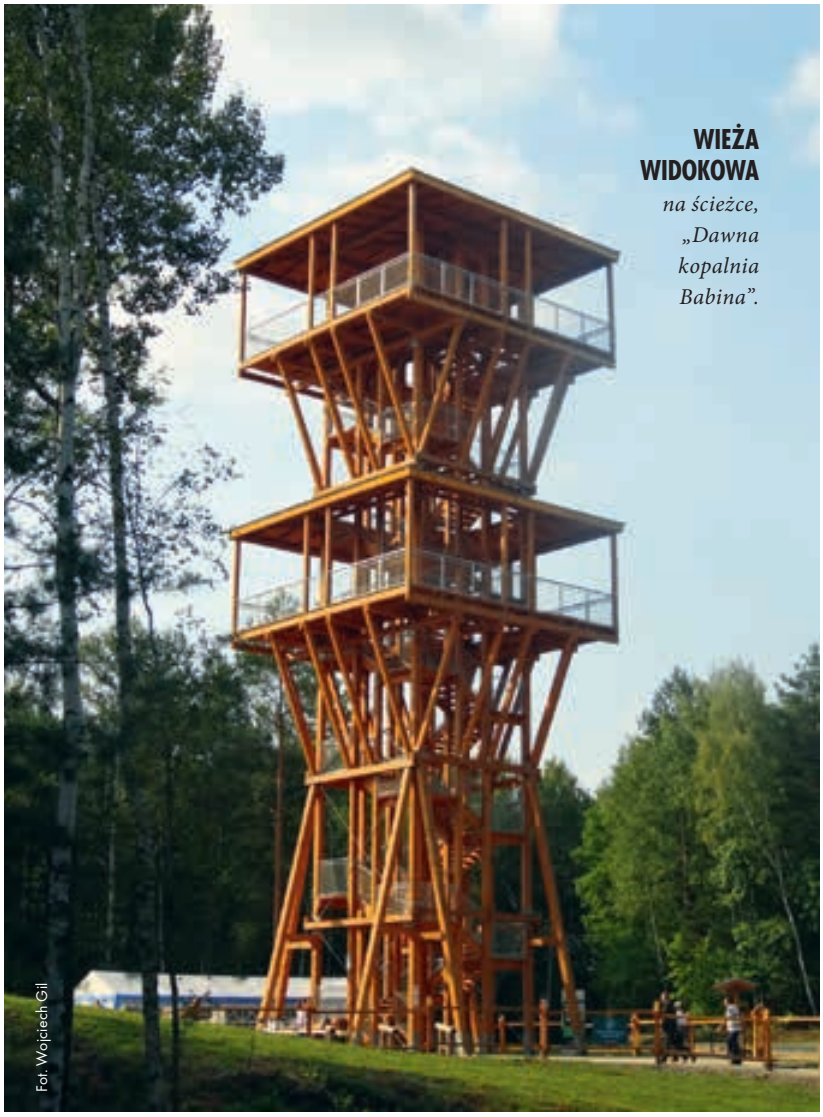

Fot. Wojciech Gil

WIEŻA WIDOKOWA *na ścieżce „Dawna kopalnia Babina".*

NOWE CUDA POLSKI

Znamy już wyniki szóstego konkursu na cuda Polski, organizowanego przez magazyn „National Geographic". Internauci głosowali na 32 obiekty, w tym 5 przyrodniczych. Tym razem najwięcej głosów dostało nowoczesne planetarium EC 1 w Łodzi. Wśród siedmiu cudów znalazły się też roztoczański rezerwat „Nad Tanwią" oraz położona na terenie Lasów Państwowych (Nadleśnictwo Lipinki, RDLP w Zielonej Górze), ścieżka geoturystyczna „Dawna kopalnia Babina". Znajduje się ona na obszarze Transgranicznego Geoparku „Łuk Mużakowa", wyróżnionego w ubiegłym roku znakiem UNESCO (patrz artykuł na str. 54). Podążając ścieżką, można podziwiać krajobraz, dawniej przekształcony w wyniku eksploatacji węgla brunatnego, oraz różne formy i przejawy samorzutnego odradzania się środowiska naturalnego. Tę jedyną w swoim rodzaju trasę przemierzają rocznie ponad 22 tys. turystów. /wg/

Fot. Wojciech Gil

JUBILEUSZ CIUCHCI

Fundacja Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej 1 października świętowała 20-lecie istnienia. To dzięki jej staraniom wróciła na trasę popularna ciuchcia, co roku wożąca turystów z Majdanu do Przysłupia i Balnic, a w czasie ferii zimowych – do Dołżycy. W tym roku padł kolejny rekord – do końca września przewiozła ponad 122 tysiące pasażerów. Budowę tej kolejki leśnej rozpoczęto w 1890 r. W latach 60. ubiegłego wieku przewoziła rocznie nawet 160 tysięcy m sześc. drewna, dając zatrudnienie ok. 120 osobom. Wraz z powstawaniem coraz to nowych dróg, jej znaczenie ustawicznie malało, a w 1994 r. wyłączono ją z eksploatacji. Na szczęście, nie na długo. Trzy lata później wznowiono ruch turystyczny. /wg/

Fot. Wojciech Gil

POROZUMIENIE PARYSKIE OBOWIĄZUJE

Na krótko przed szczytem klimatycznym w Marrakeszu, 4 listopada 2016 r., weszło z życie porozumienie klimatyczne, zwane porozumieniem paryskim. Ratyfikowały je 73 państwa oraz Unia Europejska, odpowiedzialne łącznie za prawie 60 proc. światowej emisji gazów cieplarnianych.

Unia Europejska, na którą przypada 12 proc. emisji, ratyfikowała porozumienie, nie czekając, aż uczynią to wszystkie państwa członkowskie. Wymogi formalne co do obowiązywania porozumienia spełniają wyłącznie te kraje, które indywidualnie dokonały ratyfikacji. Jest ich na razie siedem, w tym Polska. W związku z porozumieniem nasz kraj wniesie do tzw. Zielonego Funduszu Klimatycznego 8 mln dolarów. /wg/

Fot. Danuta Piotrowska

BODO NAUMULLER, *artysta z Niemiec, upodobał sobie gołuchowski pejzaż.*

SZCZYTY KLIMATYCZNE *to okazja do promowania proekologicznych technologii.*

INSPIRACJE LEŚNE IV

W Ośrodku Kultury Leśnej w Gołuchowie odbyła się czwarta już edycja pleneru artystycznego z cyklu „Inspiracje leśne". Przez dwa tygodnie grupa polskich i niemieckich artystów – dwudziestu pięciu malarzy i fotograf – tworzyła dzieła, których tematem był las.

Artyści, którzy 14 września przyjechali do Gołuchowa, wywodzili się z Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej Delegatura Kielce, Stowarzyszenia Artystów Kunstverein z Templina oraz z niezależnych środowisk twórczych. Tradycyjnie już podczas pleneru nie tylko skupili się oni na tworzeniu własnych dzieł, ale również podzielili się doświadczeniem z młodzieżą. Przeprowadzili dla niej warsztaty „Gołuchowski raj na ziemi", podczas których odkryli przed młodymi adeptami malarstwa tajniki swego warsztatu. W salach „Powozowni" otwarto też wystawę „K2 1986 In memoriam", na którą złożyły się zdjęcia z rodzinnego archiwum Danuty Piotrowskiej – fotografki, uczestniczki pleneru – związane z wyprawą na K2 polskiego alpinisty Tadeusza Piotrowskiego. Goście zwiedzili park-arboretum, pokazową zagrodę zwierząt, gołuchowski zamek oraz Muzeum Leśnictwa. Owoce dwutygodniowej pracy artystów przedstawiono na poplenerowej wystawie. Jednym z patronów medialnych imprezy były „Echa Leśne". /aa/

Fot. Filip Klimaszewski

JA JESTEM LEŚNY CZŁOWIEK

Z MARKIEM PIEKARCZYKIEM O TYM, DLACZEGO KOCHA PTAKI, A ZWŁASZCZA GAWRONY, O GRZYBOBRANIU, BOCHEŃSKIM OGRODZIE, A TAKŻE O TYM, DLACZEGO LAS JEST WAŻNY DLA NAS WSZYSTKICH, ROZMAWIA BOGUMIŁA GRABOWSKA.

Spotykamy się przed próbą. Razem z kolegami dacie koncert na rzecz pomocy Markowi Ałaszewskiemu z zespołu Klan. Wczoraj grałeś dla chorego chłopca. Skąd takie zaangażowanie w pomoc innym?

Robienie różnych rzeczy dla kogoś to przecież przyjemność. Czuję taki obowiązek. Kiedyś byłem bardzo biedny. Spałem w piwnicach, na dworcach. Nie miałem gdzie mieszkać. Nie miałem co jeść i wiem, jak to jest, kiedy ktoś klepie biedę. Wiele lat opiekowałem się też ojcem przykutym do wózka inwalidzkiego. Dzięki temu wiem też, jak to jest być bezradnym.

Pomagasz nie tylko ludziom. Zaangażowałeś się w akcję „Nie będzie ptaków, nie będzie śpiewania!", organizowaną przez fundację „Jestem na pTak!".

Uwielbiam ptaki. Własnoręcznie zrobiłem wiele budek, wieszam je w ogrodzie i ciągle się czegoś uczę.

Miałem nawet ptaka, którego uratowałem. To był gawron. Spotkałem go na środku skrzyżowania. Stał tam, w nocy, wystraszony. Nazwałem go Norbert, tak od razu. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale powiedziałem: Norbert, co tak stoisz? Zaraz cię koty zjedzą.

Nie miał ogona. Koty mu go wyskubały, a Norbert siedział na środku skrzyżowania, bo stamtąd widział, skąd nadchodzą. Chciałem do niego podejść – zaczął przede mną uciekać, ale w określonym kierunku, jakby mnie dokądś prowadził. Szedł cały czas przede mną i na następnym skrzyżowaniu skręcił w lewo, do mojego domu. Zatrzymał się przed moją furtką.

Wybrał cię...

Dał się bez problemu złapać. Włożyłem go do klatki, ale nie dlatego, żeby zrobić z niego niewolnika. Nie chciałem, żeby go te koty dopadły. Zbudowałem mu piękny, duży dom, z gałęziami i różnymi zakamarkami.

Zabrałem się za czytanie, żeby się dowiedzieć, co jada, czego potrzebuje taki ptak, co zrobić, żeby mu pióra odrosły. Zacząłem nawet hodować specjalne robaki dla Norberta. Nigdy w życiu nie martwiłem się tak o nic, jak o niego. Cały czas się bałem, że mu robię krzywdę albo że coś zaniedbałem, a on taki biedny. W końcu zrobiłem mu dziurę w klatce, żeby mógł sobie wchodzić i wychodzić. Kiedyś zginął na cały dzień. Wieczorem wołam: Norbert! i patrzę, a tam w trawie idzie taki „kiwaczek".

Fot. East News/KAPiF.pl/ Karol Kątny

Masz go jeszcze?

Niestety, nie. Umarł, kiedy wyjechałem na koncerty. Żona mi opowiadała, że wyszedł z klatki i wyskoczył na czubek drzewa. I tam przyleciało mnóstwo gawronów, całe stado. Pogadały po swojemu i odleciały. Norbert wrócił do klatki. Rano był martwy. Umarł chyba na serce, ze zgryzoty.

I to po tym zostało ci zamiłowanie do ptaków?

Wszystkie są dla mnie bezcenne. Uważam jednak, że to gawrony są najwspanialsze na ziemi i w ogóle powinny być królami ptaków. Są najmądrzejsze. Mają pewne swoje zasady, porównywalne z ludzkimi, pod wieloma względami przypominają takich dobrych ludzi.

Wiedziałaś, że nasze gawrony odlatują do południowej Europy a do nas przylatują z Rosji? Te rosyjskie nie mieszkają bliżej niż w promieniu 20 kilometrów od miast i w sa-

„THE VOICE OF POLAND"

to była przygoda. Z programem rozstał się jednak bez żalu.

mych miastach. Boją się ich. A u nas, owszem, mieszkają. Bo u nas jest dobrze. Dziwne to jest…

Ale nie śpiewają.

A co tam! Śpiewają inne. Wystarczy, że są mądre. Widać to np. na wsi, w czasie orki . Za pługiem idą gawrony. Zawsze parami, trochę z tyłu – dziewczyna. On znajduje robaka i podaje go jej.

Kiedyś jechałem gdzieś pociągiem. W Jaworznie na peronie stały kosz na śmiecie i ławka. Na ławce siedziała kobitka, gawronica, a tuż obok pan gawron pracowicie dziobem i pazurami wygrzebywał z kosza jakąś folię. W końcu wyciągnął kawałek chleba i poczęstował partnerkę. Nie do wiary, widziałem to na własne oczy!

Jesteś wegetarianinem. Jak długo?

Od 26 lat. Nagle dostałem obrzydzenia do mięsa. Potrząsnęło mną, pomyślałem: już nigdy w życiu tego nie zjem. Postanowiłem, że będę jadł ryby.

Ale przecież ryba też żyje...

No właśnie. To było w Nowym Jorku. Niedaleko miałem sklep z najlepszymi rybami na świecie. Zapchałem nimi lodówkę. Taki gest, bo to niby zmiana życia. Na drugi dzień otworzyłem ją i nie mogłem na to patrzeć. Obdzwoniłem kolegów i wszystkie ryby rozdałem.

Zresztą miałem z tym problem już od dziecka. Karp pływający w wannie to była największa świąteczna atrakcja. Żadna tam choinka, tylko ten karp. A potem go zabijali, a nam wmawiali, że to nie tę rybę mamy na talerzu. I jeszcze trzeba było ją zjeść…

Wymyśliłem sobie wtedy, że się „śmiertelnie" udławię ością. Żeby już mi nie dawali zupy rybnej i tego karpia. Nie udało się – brat, któremu zdradziłem swój plan, zakrztusił się trzy minuty wcześniej. I już do końca nie musiał jeść ryby. Cwaniaczek.

Lepiej się czujesz, nie jedząc mięsa?

Czuję się mniej zakłamany. Człowiek uważa, że ma prawo decydować o wszystkim. Ale przez to, że opanowaliśmy świat i mamy ogromne możliwości, spoczywa też na nas większa odpowiedzialność. Zwierzęta są bezbronne. Zabraliśmy im wolność i mamy wobec nich dług.

Mam nawet własną wersję tekstu do muzyki z „Marszu wilków". Jest hymnem świnek i kończy się słowami: dzisiaj warchlaczek, jutro stek. Taka wegetariańska piosenka.

Często chodzisz do lasu?

Mam do niego daleko. A szkoda, bo dla mnie las to najpiękniejsze miejsce. Ja jestem raczej leśny człowiek.

Ilekroć jadę w trasę, to nie mogę wytrzymać – muszę gdzieś po drodze zatrzymać się i połazić po lesie. Zawsze tak było. Pamiętam, jechaliśmy kiedyś autobusem w trasę z grupą TSA przez Świętokrzyskie. Bo kiedyś zespół jeździł razem, autobusem, a nie tak jak teraz, każdy osobno. Stanęliśmy na poboczu. I ze Stefanem Machelem pobiegliśmy w las. Było piękne lato i ten las był taki cudowny i pachnący. Rozebraliśmy się i zrobiliśmy sobie turbany z ciuchów i gałęzi, które sterczały jak jakieś rogi. Biegaliśmy, krzyczeliśmy, tarzaliśmy się jak zwierzęta. Dwie godziny na nas czekali, a my wyskoczyliśmy na drogę ubrudzeni, nadzy i wymalowani jak dzicy. Koledzy patrzyli na nas jak na debili.

Teraz chyba na las reagujesz spokojniej...

Patrzę, łażę. Przyglądam się, gdzie są, i jakie, grzyby. Uwielbiam chodzić na grzyby. Nigdy żadnego nie kopnę. Wącham je sobie. Nie wycinam, wykręcam. Chodzę tylko ścieżkami, żeby ich nie tratować. Ale i tak zawsze coś znajdę, nawet jak rosną tylko trzy, to na pewno ja je znajdę.

Mam jedną zasadę. Nie lubię jeździć na grzyby o świcie. Uczę wszystkich przyjaciół, z którymi jeżdżę do lasu, żebyśmy nie chodzili na grzyby o 4 albo 5 rano, bo robimy konkurencję babciom. Przecież gdzieś w tych okolicach mieszkają takie biedne babuliny, które nazbierają tych grzybków, sprzedadzą za 20 złotych i mają na chleb czy mleko.

Grzybobranie to taki lekki hazard...

No tak, ale po co zabierać sprzed nosa grzyby tym babciom? Przecież my jesteśmy bogaci, mamy pieniądze, pełno żarcia. Chodźmy sobie po tym lesie dla przyjemności, a i tak przecież coś znajdziemy, bo mamy czuja. A jak nam zabraknie grzybów, to dokupimy od babci. Po co zachrzaniać o 6 rano?

I co robisz z grzybami, które zbierzesz?

Gotuję je. Robię weki z prawdziwków. Lubię grzyby i mam wiele przepisów.

Jesteś dumny ze swojego ogrodu, w którym uprawiasz warzywa. Bardzo często o nim wspominasz. Masz kozę Klementynę, mieszkającą w specjalnie zbudowanym dla niej domu. Lubisz kwiaty?

W WAKACJE *zbudował dla syna dom na drzewie.*

Kwiaty, jak rosną, to są. Coś uschnie, to dosadzę. Mam róże kupione po 5 złotych w supermarkecie. Teraz wszystkie kobiety zaglądają z ulicy i mnie pytają, skąd mam takie ładne kwiaty. Posadziłem hortensje, różne krzewy

Fot. archiwum Marka Piekarczyka

– bzy, azalie, rododendrony. Wszystko robię własnoręcznie. Kiedyś przyjechała do mnie ekipa z wydawcą książki w sprawie jakichś ustaleń. Akurat nadciągała burza, a ja miałem skoszone siano. Zwołałem ich wszystkich do zbierania. I w tych swoich garniturkach wszystko zebrali.
Kocham drzewa. Posadziłem w ogrodzie aleję brzóz. Kocham brzozy i od zawsze marzyłem o takiej alei. Nawet rosną tam kozaki.

Zbierasz grzyby z własnego ogrodu?

Skądże. Wszystkie grzyby, które rosną u mnie, a są też różne dziwne, są pod ochroną. Nie wolno ich kopnąć, nadepnąć… Mam nawet specjalny fragment ogrodu, w którym rosną jakieś krzaki, topinambur, dzikie róże, leżą gałęziory, kamienie i w ogóle tam nie wchodzimy. To takie miejsce dla jeży i bażantów. Teraz mam jednego. Rano widzę, jak się przechadza z godnością.
A wiesz, że kiedyś uratowałem sosnę w swoim ogrodzie? To było jedyne drzewo, oprócz wielkiej lipy, które tam rosło, jak kupowałem mój dom. Wywaliło się przez śnieg i tak sobie leżało. Wykopałem głębszy dół, podciągnąłem je tam, wsypałem jakąś mikoryzę i wielkie kamienie, przycisnąłem tym korzenie. I dalej rośnie. Piękna sosna.

Masz zadatki na leśnika...

Jak myślę sobie, kim mógłbym być zamiast wokalisty, to wychodzi mi, że leśniczym albo ogrodnikiem. Ogrodnik to taki kreator, leśniczy ma jednak bez porównania cięższą robotę. Zresztą, kiedyś pracowałem w lesie. Musiałem wycinać drzewa w Bieszczadach. Uciekłem przed wojskiem i zostałem pomocnikiem tachymetry. Żeby zrobić niwelację, trzeba było wyciąć drzewa z przecinek.
Miałem pomocnika, młodego Łemka. Nie chciałem wziąć do ręki piły mechanicznej. On nauczył mnie ciąć piłą „moja–twoja" i siekierą. Wycinaliśmy wielkie buki. To było piękne: ostrzenie pilniczkiem, małe ogniseczko, jedzonko, śniadanie, sypie śnieg, a my, rozebrani do pasa, ścinamy buki.

Czyli poznałeś najtrudniejszą pracę w lesie...

Tak. Nauczyłem się przewidywać, gdzie upadnie drzewo, podbijać kliny…
Pacyfista, ścinający w bieszczadzkiej głuszy stare buki… Trudno to sobie wyobrazić.
Rzeczywiście, bo, powtórzę, kocham drzewa. Pierwsza piosenka, jaką w życiu napisałem to protest song o wycinaniu drzew. Jedyny rosyjski wierszyk, który pamiętam z podstawówki też jest o drzewach. Mogę go do tej pory recytować.
W ogrodzie mam mnóstwo klonów, miłorzębów, perukowca, metasekwoję. Nie mam tylko modrzewi. Sąsiad ma i ścina im czubki. Takie „palmy" rosną, żal mi ich. To tak trochę według zasady, że chłop żywemu nie przepuści. To jest najgorsze. Na wsi walczą z roślinnością, a w mieście odbudowują… Bronią każdego drzewa. Tak tęsknią za drzewami, że są w stanie się do każdego przywiązać łańcuchem, żeby go tylko nie wycięli.

Ty sadzisz drzewa, a ktoś obok je bezmyślnie niszczy.

Byłem świadkiem wielu ludzkich głupot i złego gospodarowania. Kiedyś na plantach w Bochni wycięli cały rząd kasztanowców, kilkaset drzew. Człowiek to jedyne zwierzę, które samo sobie paskudzi. Jesteśmy zamkniętym obiegiem trucizn. Nie możemy nie zauważać, że jesteśmy całkowicie uzależnieni od roślinności. Dla nas las jest ważniejszy od nas. Nie będzie lasów, to nie będzie ludzkości. Czuję to, kiedy tam jestem. Czuję, że jestem człowiekiem lasu i nie chcę z niego wychodzić.
Popatrz na to, co się dzieje w Brazylii. Wszyscy się cieszą, że mają takie tanie drewno, takie piękne meble z niego robią, jakieś podłogi. Ale to przecież po to tnie się w Amazonii na potęgę, bez umiaru.
Na początku człowiek musiał walczyć z lasem, bo ten zajmował mu orną ziemię, na której chciał coś posadzić. W lesie tylko zbierał i polował. To była ciężka walka na śmierć i życie.

Wydaje nam się, że wygraliśmy tę walkę...

Tylko się nam tak wydaje. Przegrywamy, bo wygraliśmy. Co to za wygrana, jak zaraz nie będzie czym oddychać albo rozwalą nas jakieś huragany.

Mieszkasz w Bochni. To jednak miasto, nie myślisz o tym, żeby przeprowadzić się do lasu?

Ależ oczywiście! Bardzo chciałbym w nim mieszkać, jeździć do domu drogą przez las. A na jej końcu byłaby polana.

A kto by to odśnieżał?

No, ja. Szczerze? Miałbym to gdzieś… Miałbym najwyżej wymówkę, że nie mogę gdzieś pojechać, bo mnie zasypało. Siedziałbym sobie w domu i czytał książki.
Zresztą, nie boję się odludzia. Mam szklarnię, a w niej warzywa, mam swoje weki, kiszonki. Umiem upiec chleb. Jako dzieciak uczyłem się, co jest w lesie do jedzenia oprócz jagód i grzybów. Wiem, które korzonki są jadalne, znam też trucizny. Umiem zbudować szałas.

To teraz takie modne...

Ja to wszystko potrafię od dawna. To wymysł mieszczuchów, że natura jest taka groźna, że zabija ludzi. A człowiek sobie ubzdurał, że w mieście wszystko jest takie gładkie i parzyste. A las jest – jakby na przekór – nieparzysty i szorstki… jak człowiek. ¶

MAREK PIEKARCZYK

od 1981 r. związany z TSA, jednym z najpopularniejszych polskich zespołów w historii polskiego rocka i prekursorem heavy metalu. Wokalista, autor tekstów, kompozytor. Znany również z działalności solowej i jako członek grupy Yugopolis. Gościnnie występował m.in. na płytach Big Cyc, Macieja Zembatego czy Małgorzaty Ostrowskiej. Jest również aktorem. Wcielał się w postać Jezusa w rock-operze Jesus Christ Superstar i Krzysztofa Klenczona w poemacie rockowym. Przez dwa lata zasiadał w jury popularnego programu „The Voice of Poland", emitowanego w TVP2. Jego podopieczna, Natalia Sikora, wygrała drugą edycję programu. Zaangażowany w działalność charytatywną. Prywatnie dumny mąż i ojciec. W 2014 r. ukazała się książka „Marek Piekarczyk. Zwierzenia kontestatora", której jest współautorem.

Fot. Paweł Kaczorowski

STRAŻNIK TAJEMNIC

POZYCJI KRUKA W KULTURACH WIELU NARODÓW MOGĄ DORÓWNAĆ TYLKO NIELICZNE PTAKI. JUŻ W PRADAWNYCH MITACH UCHODZIŁ ZA SYMBOL TAJEMNICZOŚCI I MĄDROŚCI. NAJCZĘŚCIEJ MIAŁ PEŁNIĆ ROLĘ POSŁAŃCA LUB STRAŻNIKA, ZAMIESZKUJĄCEGO OKRYTE ZŁĄ SŁAWĄ STARE ZAMKI, OPUSZCZONE KOŚCIOŁY I CMENTARZE...

TEKST: **Paweł Oględzki**

Kruk jest jednym z najbardziej znanych, przynajmniej z nazwy, ptaków na Ziemi. Znanych nie oznacza w tym wypadku – rozpoznawanych. Mimo że w naszym kraju jego liczebność systematycznie wzrasta, a przedstawiciele tego gatunku pojawiają się w miejscach, w których wcześniej ich nie widywano. Wciąż jest powszechnie mylony – głównie z gawronem i wroną (zwłaszcza wroną czarną, czyli czarnowronem). Sporo osób nazywa krukiem każdego dużego, czarnego ptaka, który w dodatku kracze.

Tymczasem odróżnienie naszego bohatera od pozostałych przedstawicieli rodziny jest stosunkowo łatwe – przede wszystkim jest od nich wyraźnie większy i masywniejszy. Widać to zwłaszcza w powietrzu – kruk lata znacznie bardziej majestatycznie, najczęściej z klinowato rozszerzonym ogonem, często wykorzystuje prądy powietrza, by szybować niczym drapieżnik. Z większej odległości łatwiej go pomylić z ciemno ubarwionym myszołowem, zwłaszcza że – podobnie jak on – ma skrzydła zakończone pojedynczymi, długimi lotkami. Jeśli dodamy do tego prawie półtorametrową rozpiętość skrzydeł i mocną sylwetkę…

Równie łatwo rozpoznać kruka siedzącego na ziemi, drzewie lub skale (co prawda, w lesie trudno o skały, ale ptak bardzo je lubi). Od razu zwraca uwagę potężny czarny dziób, przyozdobiony charakterystyczną brodą

z nastroszonych piór. U znacznie mniejszego gawrona dziób jest prosty, dłutowaty, do tego dorosłe ptaki mają wokół niego łysinę, powstałą wskutek wytarcia piór podczas poszukiwania pokarmu w podłożu.

U kruków nie występuje dymorfizm płciowy. Gatunek uważany jest za monogamiczny, choć przypadki zdrad małżeńskich nie są rzadkie. Poza okresem lęgowym ptaki tworzą często stada (z reguły rodzinne), liczące nawet kilkanaście osobników, w których choć obowiązuje hierarchia, dość często następują przetasowania.

A jak to jest z mityczną wręcz długowiecznością kruków? Niestety, nie ma mowy o tym, by dożyły choćby pięćdziesiątki. Co prawda, rekordzista z londyńskiej twierdzy Tower padł podobno w wieku 44 lat, co jak na ptaka jest wynikiem wyjątkowym, ale dla osobników żyjących w stanie dzikim, niekorzystających ze specjalnej pomocy człowieka, ta granica to na ogół 10–12 lat.

— Dowiedziono, że kruk ma najlepiej spośród wszystkich ptaków rozwinięte części mózgu, odpowiedzialne za myślenie abstrakcyjne. Znakomicie i szybko kojarzy fakty, rozwiązuje problemy, zapamiętuje sytuacje i potrafi wykorzystywać zdobyte doświadczenie. —

ZJE PRAWIE WSZYSTKO

Kruk jest kojarzony z lasami i rzeczywiście zamieszkiwał kiedyś niemal wyłącznie rozległe puszcze, nie zapuszczając się w pobliże ludzkich siedzib. Wraz ze wzrostem liczebności gatunku tendencja ta uległa zdecydowanej zmianie. Obecnie ptak wyraźnie preferuje mozaikę siedlisk leśnych i terenów otwartych – znacznie łatwiej spotkać go na obrzeżach starego drzewostanu niż w głębi lasu. Często patroluje łąki i pola lub odwiedza okolice większych zbiorników wodnych. Coraz chętniej zagląda też do miast. Można go spotkać na peryferiach Warszawy, Poznania czy Wrocławia – zimą regularnie poszukuje pokarmu na miejskich odcinkach rzek.

Skoro mowa o pokarmie – do sukcesu ewolucyjnego kruka, którego dowodem jest chociażby ostatnio notowana odbudowa polskich populacji, przyczynił się z pewnością oportunizm pokarmowy. Kruk jest praktycznie wszystkożerny, aczkolwiek zdecydowanie preferuje pokarm zwierzęcy w różnych postaciach. Potrafi być aktywnym drapieżcą, polując na owady, płazy, gady (przede wszystkim jaszczurki), a nawet mniejsze ptaki. Jeśli w trakcie patrolowego lotu dostrzeże chorego lub osłabionego osobnika, los ofiary jest raczej przesądzony. Bywa, że plądruje gniazda – zarówno gatunków naziemnych, jak i odbywających lęgi na drzewach. Odpuszcza jedynie krewniakom gniazdującym w gęstych krzewach, ponieważ nie jest w stanie dobrać się do jaj lub piskląt. Często można go spotkać przy padlinie, którą odnajduje znacznie szybciej niż inni amatorzy łatwego posiłku. Prawdopodobnie przyczynia się do tego wrodzony spryt i inteligencja, połączone ze spostrzegawczością. Kiedy o pokarm zwierzęcy jest trudno, kruki włączają do swej diety nasiona, młode pędy roślin i owoce, choć nie są to kąski, o które by się jakoś specjalnie zabijały. Zdają się też wyczuwać, kiedy ma nadejść sroższa zima i wtedy zaczynają przygotowywać zapasy, które zwykle ukrywają w kilku różnych miejscach i nigdy nie zapominają ich lokalizacji.

KRUCZE SKRZYDŁA
mogą mieć nawet półtora metra rozpiętości.

Fot. Paweł Oględzki

PTASIE RADIO

Kruki, żyjące w grupach, których skład przez dłuższy czas się nie zmienia, zaczynają w odmienny sposób nawoływać poszczególne osobniki, kierując określony przekaz bezpośrednio do nich – zupełnie jakby nadawały sobie nawzajem imiona. Niestety, nie jesteśmy – jak dotąd – w stanie rozszyfrować ich języka, ale z pewnością przekazują sobie informacje nie tylko o zagrożeniu czy obecności pokarmu.

BEZ MAŁŻEŃSKIEJ RUTYNY

Odpowiednio bogata dieta w okresie zimowym ma w wypadku kruków szczególne znaczenie, gdyż wyjątkowo wcześnie, jak na warunki europejskie, przystępują do lęgów. Loty tokowe, które są obowiązkowym rytuałem nawet u par będących razem wiele lat, rozpoczynają się już w styczniu i są wyjątkowo efektowne. Ptaki wykonują w powietrzu ekwilibrystyczne wręcz akrobacje, do tego często się nawołując. Właśnie wtedy najłatwiej podziwiać ich powietrzny kunszt. Kruki zazwyczaj nie tracą energii na budowę nowego gniazda, chyba że stare zostało zniszczone. Dlatego – jak u większości gatunków – za migracje i zasiedlanie nowych terenów odpowiedzialne są osobniki młode, w pewnym momencie dość stanowczo „zachęcane" przez rodziców do szukania szczęścia na własną rękę (a raczej skrzydło). Gniazda kruków są solidne, wysłane mchem i sierścią, umieszczone w koronach wysokich drzew, zwykle świerków. Chociaż ptaki te coraz częściej od drzew wolą słupy energetyczne. Ot, znak czasu…

Kiedy gniazdo zostanie naprawione po prawie rocznej przerwie bądź zbudowane w nowym miejscu, można przystąpić do rozrodu. Zazwyczaj już pod koniec lutego, kiedy las pokryty jest jeszcze śnieżną pierzyną, samica składa od 4 do 7 jaj (czasem mniej, jeśli w danym roku jest mało pokarmu). Okres inkubacji trwa stosunkowo krótko, jak na ptaka tej wielkości i rzadko przekracza trzy tygodnie. Jaja wysiaduje wyłącznie samica, jej partner zaopatruje ją w tym czasie w pokarm (najczęściej kawałki padliny). Kruki wyprowadzają jeden lęg w ciągu roku, ale jeśli zostanie on zniszczony (zdarza się to rzadko, a sprawcami mogą być puchacze, jastrzębie bądź kuny leśne) przystępują do ponownego.

NIE MA JAK RODZINA

Kruk należy do tak zwanych gniazdowników – pisklęta wykluwają się praktycznie nagie i muszą pozostawać w gnieździe przez około 40 dni. Między innymi dlatego jest ono tak mocne i duże, musi przecież wytrzymać ciężar kilku coraz większych podlotków. Wspomniałem, że młode są, mniej lub bardziej stanowczo, zachęcane przez rodziców do poszukania sobie nowych rewirów. Zanim to jednak nastąpi, a para zacznie przygotowy-

„BYŁO I NIE MA"

Podobnie jak większość przedstawicieli swojej rodziny, kruki uwielbiają zbierać błyszczące przedmioty i chować je w różnych miejscach. Często urządzają wtedy cały spektakl, udając, że ukrywają zdobyty skarb w jakimś miejscu, a w rzeczywistości przenosząc go w inne. Nie wiadomo, jaki jest ewolucyjny sens takiego zachowania – być może, służy wyłącznie zabawie i rozwojowi zdolności poznawczych. Jeśli tak, okazało się to skutecznym narzędziem, bo czego jak czego, ale inteligencji nie można krukowatym odmówić.

Fot. Paweł Oglęcki

Kruk (nazywany także krukiem zwyczajnym) został opisany jako gatunek biologiczny już w klasycznym dziele Karola Linneusza „Systema Naturae" z 1759 r. i wciąż nosi nadaną mu tam nazwę naukową *Corvus corax*. Uznawany jest za gatunek typowy dla rodzaju *Corvus*, co oznacza, że ten człon nazwy łacińskiej występuje także w nazwach innych gatunków z rodziny krukowatych – gawrona, wrony czy kawki. Wyróżniane są liczne podgatunki kruka, żyjące w Europie, Azji i Ameryce Północnej.

APOLLIN BYŁ ZAGNIEWANY

W mitologii greckiej kruk był pierwotnie barwy białej, zaś kolor upierzenia zmienił mu Apollin, syn Zeusa i Ledy, gdy ptak wyjawił sekretną tajemnicę jego kochanki Koronis. W wierzeniach skandynawskich kojarzony był często z Odynem, bogiem wojny i wojowników, zwykle jako symbol mądrości, przenikliwości i wiedzy tajemnej. W Polsce był ptakiem popularnym wśród szlachty, która umieszczała go w wielu herbach. Miał też swoje znaczenie w alchemii i mistycyzmie.

TE KRUKOWATE NAJTRUDNIEJ ROZRÓŻNIĆ

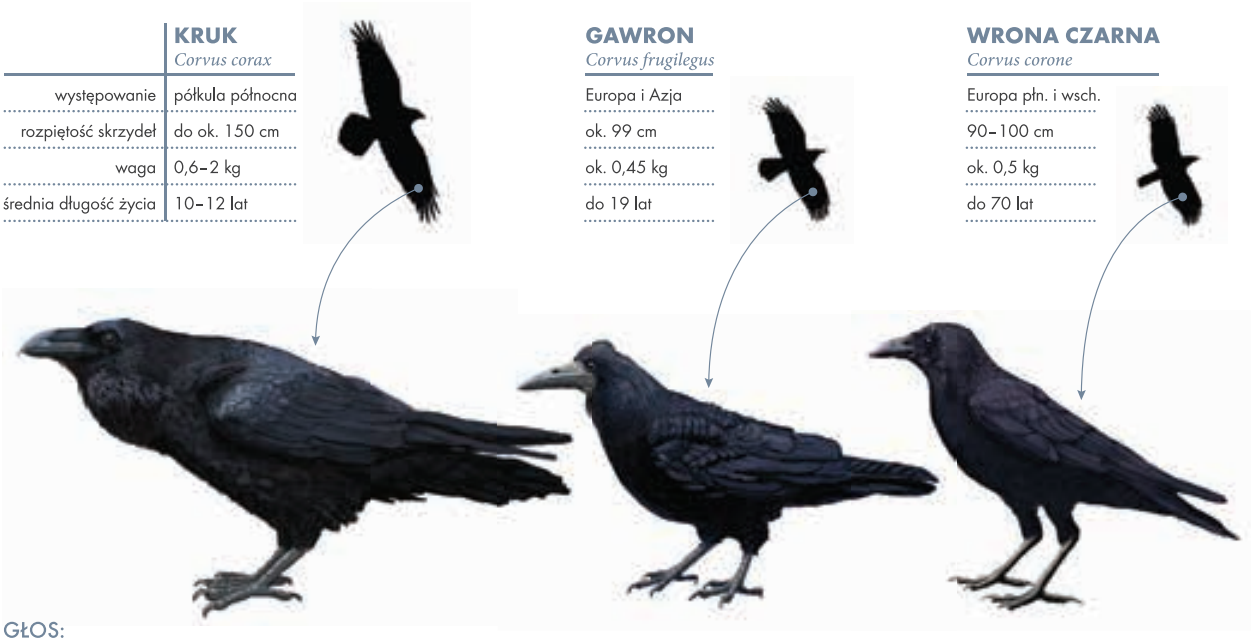

Opracowanie: Polska Grupa Infograficzna

wać się do kolejnego lęgu, cała rodzina przebywa razem przez około pół roku. Nie znaczy to oczywiście, że latem i jesienią spotykamy wyłącznie stada kruków – samotne eskapady poszczególnych osobników są wręcz regułą, ale ptaki raz na jakiś czas się spotykają. Zwykle spędzają razem noce w pobliżu gniazda, wzajemnie nawołują, a w wypadku znalezienia większej padliny – wspólnie żerują.

Kruki nie cieszą się zbytnią sympatią myśliwych, którzy obwiniają je za spadek liczebności populacji zajęcy w naszych lasach. Fakt, kruk nie przepuści młodemu „uszakowi”, spotkanemu na leśnej przecince, ale absolutnie nie jest głównym sprawcą obserwowanego przed kilku laty dramatycznego zajęczego kryzysu – znacznie większą rolę odegrały choćby lisy, nie mówiąc o chorobach. Większość miłośników przyrody i lasu z przyjemnością patrzy na majestatyczne czarne sylwetki, unoszące się na niebie, zwłaszcza jeśli ma okazję do podziwiania ich powietrznych akrobacji. To prawdziwy spektakl natury – oby widywany jak najczęściej… ¶

KRUK KRUKOWI
oka nie wykole?

Fot. Łukasz Gwiździel

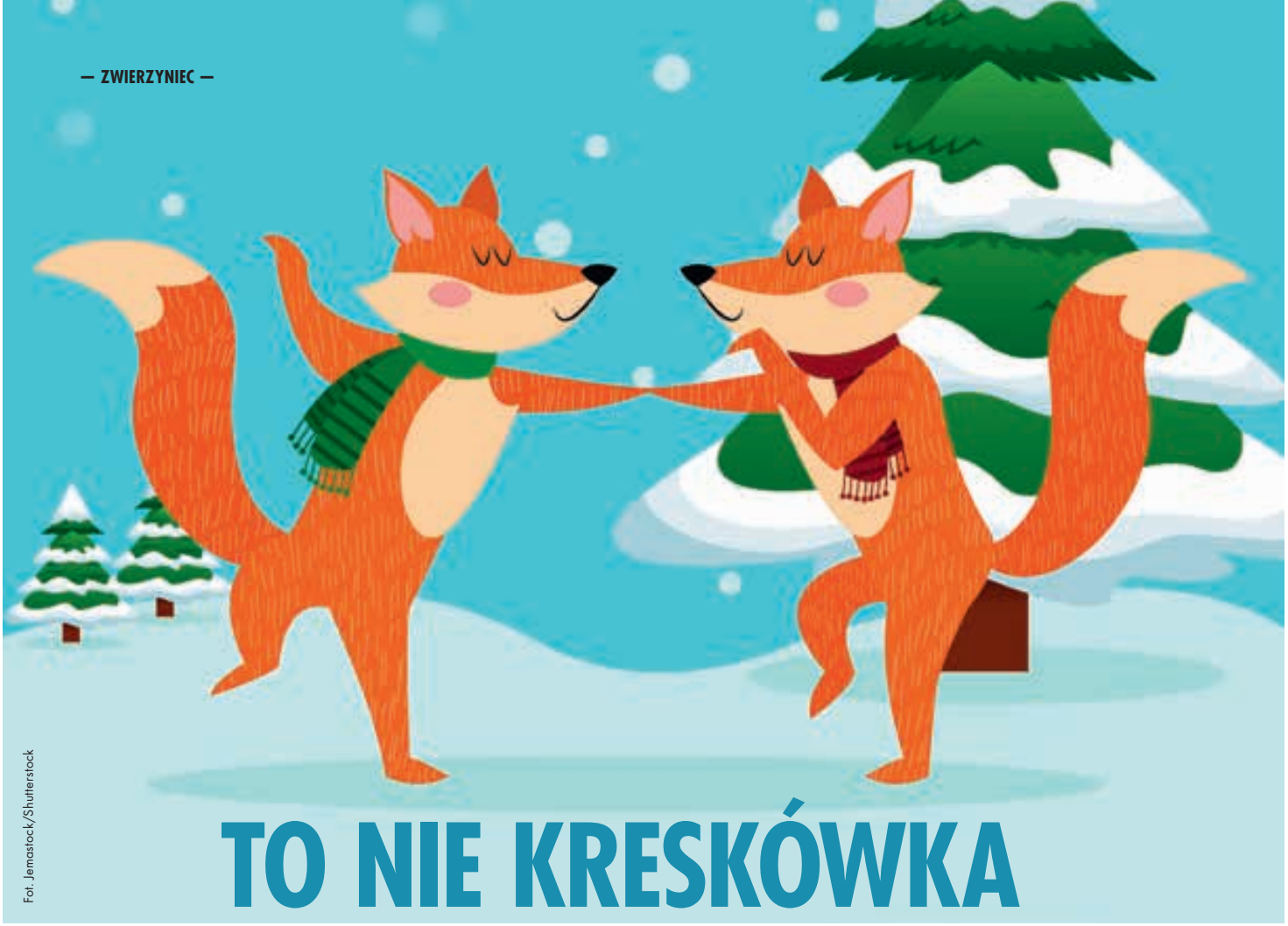

Fot. Jemastock/Shutterstock

TO NIE KRESKÓWKA

WILKI O OGROMNYCH JAK SPODKI, MĄDRYCH OCZACH. NIEDŹWIEDZIE ZE SŁODKIMI PYSZCZKAMI, ODMALOWUJĄCYMI EMOCJE. RYSIE NICZYM PUCHATE KULECZKI. NIEPORADNE SARENKI, CHWIEJĄCE SIĘ NA CIENKICH NÓŻKACH. PRZYPOMINAJĄCE DZIECIĘCE PLUSZAKI DZIKIE ZWIERZĘTA ŻYJĄ W KRAINIE WIECZNEJ SZCZĘŚLIWOŚCI, BEZ CHORÓB, GŁODU I NIEBEZPIECZEŃSTW. WSZYSTKIE ICH PRZYGODY KOŃCZĄ SIĘ DOBRZE.

TEKST: **Bogumiła Grabowska**

To przekaz, który coraz częściej płynie do nas z prasy, telewizji czy internetu. Zjawisko infantylizacji przyrody określone zostało „syndromem Bambiego" lub zwyczajnie „bambinizmem". Nazwa pochodzi od Disneyowskiej kreskówki, która wzruszyła niejednego twardziela, doprowadzając go do łez.

W TĘCZOWYCH BARWACH

Na wyidealizowany obraz natury większość przyrodników reaguje z lekkim uśmiechem. „Zbambinizowany" obraz ma się bowiem nijak do praw w rzeczywistości rządzących naturalnymi procesami. Ostre zasady konkurencji i walki o byt, którą wygra najsilniejszy, najsprytniejszy i nieraz najbrutalniejszy budzą wśród wielu wewnętrzny sprzeciw. Jak bowiem taki słodki ryś, z dziecięcą ufnością spoglądający na nas ze zdjęcia, może bestialsko zaatakować gibkiego koziołka?

Brak elementarnej wiedzy na temat zwyczajów i zasad panujących w naturze innych wiedzie wprost do krzywdzenia dziko żyjących zwierząt. To jedna z przyczyn ich „ratowania". Do tego dochodzi jeszcze jedna kwestia.

– Bardzo często trafiają do nas młode osobniki, co znajduje proste wytłumaczenie. Małe zwierzę nie jest agresywne, pozwala do siebie podejść i się dotknąć… To silna pokusa – tłumaczy Jacek Wąsiński, leśnik i twórca Leśnego Pogotowia, ośrodka, w którym od początku istnienia pomoc znalazło około 10 tysięcy zwierzaków.

Coś w tym jest. Na widok nieporadnej, samotnej sarenki niemal każdy w pierwszym odruchu myśli o tym, żeby ją uratować. – I tak, jako rzekome sieroty, trafiają do nas młode sarny, młode zające, młode ptaki,

fot. Robert Antosz

które w rzeczywistości żadnymi sierotami nie są. – Chcąc dobrze, robimy źle – mówi leśnik.

Często musi tłumaczyć, że ptaki rodzą się z zakodowaną umiejętnością latania, którą pod okiem rodziców rozwijają. – Wyjaśniam ludziom, że młode zwierzęta również potrzebują czasu, żeby nauczyć się żyć – dodaje.

ZAGROŻENIE I WYBAWIENIE

„Bambinizm" z założenia stawia człowieka w roli największego zagrożenia bajkowego świata. Czyni z niego agresora, który z siekierą wchodzi do lasu i bezmyślnie wyrąbuje drzewa. Albo, tak jak w bajkowej opowieści o jelonku, ze strzelbą i stadem psów rusza na polowanie.

Z drugiej jednak strony, człowiek jest jedynym, który może tę bezbronną naturę uratować. To też jeden z nieodłącznych aspektów „bambinizmu". Wielu uważa wręcz, że nieskalana ludzką ręką przyroda jest bezradna, a dziko żyjące zwierzęta oczekują od nich pomocy.

Szef Leśnego Pogotowia jest zdania, że zwierzętom należy pomagać. Tylko trzeba to robić z głową. Dotyczy to zwłaszcza osobników okaleczonych fizycznie.

Niestety, nie każde zwierzę da się uratować. Wiele osób uważa, że w ośrodkach i klinikach weterynaryjnych pomagających dzikim zwierzętom pracują cudotwórcy, a ich „magiczne ręce" mogą wszystko. – Czasami trudno komuś wytłumaczyć, że nasz ośrodek nie jest hospicjum dla zwierząt, bo tego zwyczajnie nie potrzebują – mówi Jacek Wąsiński. Jego zdaniem, rehabilitować powinno się tylko te, które mają szansę na samodzielne funkcjonowanie. – Zwierzę nie może wegetować, nawet jako stały rezydent naszego ośrodka. To nie jest pomoc, tylko znęcanie się nad nim.

PORAŻKA JEST SIEROTĄ

W mediach co jakiś czas pojawiają się informacje o strażakach ratujących zwierzęta uwięzione na krze albo wyciągających je ze studni. Jacek Wąsiński opowiada o dwóch dorosłych, rannych łosiach, które dryfowały po Bugu na krze. Strażacy przez długi czas walczyli o wyciągnięcie przestraszonych zwierząt na brzeg. Wydarzenia na żywo transmitował kanał TVN 24, a ratownicy i leśnicy zyskali ogromną wdzięczność widzów. Łosie przewieziono do Leśnego Pogotowia. Nie przeżyły.

Smutnej części historii media z reguły już nie opowiadają, a to nierzadko bywa zakończeniem. Według Straży Leśnej jednego z nadleśnictw, na dwadzieścia

SYNDROM BAMBIEGO

Po raz pierwszy to pojęcie z zakresu socjologii pojawiło się na początku lat 70. ub.w. w amerykańskiej prasie łowieckiej. Określa ono sposób podejścia człowieka do przyrody, chrakteryzujący się jej infantylizacją i idealizacją. Polega na przyjęciu postawy, że wszystko, co jest związane z naturą, jest dobre, piękne, czyste i bezradne. W przeciwieństwie do tego każda działalność ludzka niesie zło i zniszczenie. „Bambinizm" dotyka przeważnie mieszkańców miast i wynika z ich oddalenia od przyrody, braku elementarnej wiedzy przyrodniczej, znajomości brutalnych praw nią rządzących, a nieraz z utraty rzeczywistego z nią kontaktu. Postawy opisane w „syndromie Bambiego" kształtują się już od dziecka. Maluchom wpaja się, że zwierzęta to sympatyczne, puchate stworzonka, których najgroźniejszym wrogiem jest zły i okrutny człowiek. Ten wzorzec zachowania jest bardzo chętnie wykorzystywany przez przemysł reklamowy. Produkt opatrzony wizerunkiem „słodkiego" młodego zwierzaczka sprzedaje się po prostu lepiej.

uratowanych saren przeżywa tylko jedna. To dosyć drastyczna, całkowicie sprzeczna z „bambinizmem" statystyka. – Trudno uratować zwierzę po wypadku samochodowym – tłumaczy Jacek Wąsiński. – Jednak taka statystyka pokazuje, co się dzieje, gdy nie otrzyma ono fachowej pomocy. – Kiedy leczenie nie jest możliwe, to konieczne staje się humanitarne skrócenie życia – mówi pan Jacek i dodaje, że nawet jeśli odchowany, czworonożny lub latający pacjent jest już w pełni zdrowy, to nie oznacza, że po nabraniu sił powróci na wolność. – Takie zwierzęta jak niedźwiedzie i wilki, odchowywane przez człowieka bardzo szybko nabierają nawyków i uczą się zachowania, które dyskwalifikuje je w naturze – mówi leśnik.

RZECZ O DWÓCH MISIACH

Potwierdzeniem słów Jacka Wąsińskiego oraz przykładem tego, jak bardzo „bambinizm" wpływa na nasze reakcje, jest historia dwóch małych niedźwiadków, odnalezionych w tym roku w Bieszczadach i Tatrach.

Na początku kwietnia bieszczadzcy leśnicy i ratownicy górscy odnaleźli w Cisnej błąkającą się po lesie i zaroślach, wychudzoną i wycieńczoną niespełna dwumiesięczną niedźwiedzicę. Fora dyskusyjne rozgrzały się do czerwoności. Leśnikom dziękowano za szybką reakcję, a pracownikom lecznicy za fachową pomoc. Wszyscy byli przekonani, że po wyleczeniu niedźwiadek wróci w bieszczadzkie ostępy. Decyzją urzędników trafił jednak do ogrodu zoologicznego w Poznaniu.

Fot. Mateusz Świerczyński

„SŁODZIAK"

Cisnej, bo takie imię nadano małej niedźwiedzicy, znalezionej w kwietniu w Bieszczadach, kibicowała cała Polska. Potem fala wdzięczności za jej uratowanie zmieniła się w falę krytyki, kiedy postanowiono przekazać zwierzę do poznańskiego zoo. Wśród komentarzy pojawiały się wezwania do wypuszczenia na wolność „misi", „słodziaka" i „przytulańca" (wszelkiego rodzaju zdrobnienia są właśnie cechą charakterystyczną „bambinizmu"). Niektórzy komentujący uważali nawet, że niedźwiadek wolałby na pewno umrzeć z głodu, niż trafić do niewoli.

– To zrozumiałe, że ta sytuacja budzi kontrowersje – twierdzi kierownik Leśnego Pogotowia i podkreśla od razu, że żadnemu z komentujących los niedźwiadka na pewno nie był obojętny. – Krytyka zachowania osób ratujących misia, w tym leśników, wzięła się z braku podstawowej wiedzy na temat gatunku. Inaczej nie mieliby złudzeń, że uratowany miś wprawdzie będzie żył, ale już tylko w niewoli – mówi.

Alternatywą było pozostawienie małej, osamotnionej niedźwiedzicy na miejscu. – To jednak oznaczałoby jej nieuniknioną śmierć. – Z pewnością zaatakowałyby ją wilki albo dorosłe samce niedźwiedzi – tłumaczy Jacek Wąsiński.

Właśnie taki los spotkał niedźwiadka znalezionego jakiś czas później w Tatrzańskim Parku Narodowym. Złapano go i przetransportowano w niższe partie gór. Po kilku dniach ponownie natknięto się na niego – był martwy, rozszarpany przez innego niedźwiedzia… Takimi prawami rządzi się przyroda. A kluczem do ich poznania może być edukacja. ¶

Fot. Mirosław Wąsiński

JACEK WĄSIŃSKI
z jedną z podopiecznych.

INSTYNKT RATOWNIKA

Jacek Wąsiński, pracownik Nadleśnictwa Katowice, prowadzi Leśne Pogotowie od 1993 r. Do ośrodka trafia około półtora tysiąca zwierząt rocznie, przeważnie pospolite gatunki ptaków i ssaków, ale zdarzają się też perełki. Do wielkich rzadkości należą bieliki, rybołowy, wilki i rysie. Trafił się nawet gadożer. Sporą część podopiecznych ośrodka stanowią młode zwierzaki, które – niesieni poczuciem obowiązku i litością – ludzie zabierają, nie tylko z lasu, chcąc je uratować.

CZYJA TO KUPA?

Fot. Paweł Fabijański

DZIK *nie pogardzi niczym, co znajdzie. Świadczą o tym jego odchody.*

CO ZIMĄ MOŻNA ZOBACZYĆ NA ŚNIEGU? PRZEDE WSZYSTKIM TROPY ZWIERZĄT. NO, CHYBA ŻE ŚNIEGU NIE MA, TO WTEDY JEST Z TYM TRUDNIEJ. ALE SĄ I INNE ŚLADY OBECNOŚCI ZWIERZĄT, CHOĆBY ICH ODCHODY, CZYLI – MÓWIĄC WPROST – KUPY. MOŻNA ZAPYTAĆ: CO TEŻ CIEKAWEGO MOŻE BYĆ W KUPIE? ANO, WIELE RZECZY.

TEKST: **Grzegorz Okołów**

To, że po wyglądzie odchodów możemy rozpoznać, z jakim gatunkiem mamy do czynienia to chyba oczywiste. Przynamniej w wypadku większych zwierząt, bo jeśli chodzi na przykład o gryzonie, to zadanie raczej dla fachowców. Na podstawie analizy kupy ssaków drapieżnych możemy wysnuć wnioski co do menu drapieżnika. Niestrawione resztki są bowiem równie cennym źródłem informacji, jak choćby analiza wypluwek u sów. I co jeszcze?

NIE TYLKO DLA NAUKI

Odchody mogą być wręcz dowodem na istnienie gatunku na jakimś obszarze. Tak było przed laty z żółwiem błotnym w Puszczy Białowieskiej, kiedy pierwszym po latach dowodem obecności tego gada było znalezienie jego szczątków w wilczych ekskrementach.

Odchody zwierząt są źródłem informacji nie tylko dla badaczy. Dla samych zwierząt są też często swego rodzaju sygnałem. U wielu gatunków, zwłaszcza drapieżnych, służą do znakowania terenu. Zwierzę celowo wypróżnia się na granicach zajmowanego rewiru, żeby potencjalny rywal wiedział, że lepiej trzymać się od tego miejsca z daleka.

Akurat odchody „graniczne” znaleźć najłatwiej. A które najtrudniej? Otóż, bobra i borsuka. Bóbr wypróżnia się przeważnie w wodzie, a więc – choć w skład jego odchodów wchodzą kawałeczki drewna – to zazwyczaj po prostu rozpływają się w niej.

Borsuk z kolei jest niezwykłym czyściochem i wypróżnia się w specjalnie do tego celu przygotowanych przez siebie latrynach.

MAŁE I DUŻE

W wypadku ptaków identyfikacja „sprawcy" nie jest już taka łatwa – ich kupy są płynne, półpłynne lub stałe. Dwa pierwsze rodzaje to właściwie plamy, praktycznie nie do rozpoznania. Chyba że chodzi o kuraki leśne i kilka innych gatunków, jak np. gęsi.

Kupa naszego największego zwierzęcia – żubra – przypomina swojski krowi placek, wszak oba gatunki pochodzą od tego samego przodka. Latem żubrowe placki, osiągające ponad 20 cm średnicy, mają konsystencję rzadszą, zimą bardziej zwartą. Zimą są też wyraźnie ciemniejsze. W cieplejszym okresie pełno w nich żuków leśnych i podobnych im kaprofagów, tj. organizmów żerujących w i na zwierzęcych odchodach.

Na zakończenie trochę z innej beczki (jeśli w tym wypadku można tak powiedzieć). Otóż, ekskrementy dużych roślinożerców, składające się z niestrawionych szczątków roślinnych, do dzisiaj w ubogich w lasy krajach stepowych są suszone i wykorzystywane na opał. Wśród ludów prymitywnych łajno zwierzęce używane też bywa jako dodatek do budulca, z którego stawiane są chaty. ¶

1. DANIEL – klasyczne „bobki", czyli odchody jeleniowatych są mniejszą kopią odchodów jelenia. Podobnie jak u jelenia – ich kształt zmienia się w zależności od pory roku i rodzaju pokarmu: latem mają konsystencję bardziej luźną i przylegają do siebie, zimą są mniej zbite, bardziej suche i sypkie.

2. WILK – typowe odchody tego drapieżnika są podobne do psich – długości do 15 cm. Mają kształt walca z przewężeniami, w których często rozpadają się na kawałki. Składają sie przede wszystkim z sierści i fragmentów kości zjedzonych ofiar.

3. DZIKIE GĘSI (GĘGAWA, ZBOŻOWA) – są jednymi z nielicznych ptaków, których odchody mają konsystencję stałą. Znajdziemy je w miejscach żerowania i odpoczynku gęsi. Jak przystało na ptaka ważącego 4–5 kg również są duże. Mają długość kilku centymetrów, około centymetra średnicy. Widać w nich resztki roślinne, barwy od zielonkawej do czarnej, jeden koniec białawy.

4. DZIK – jesienią i zimą odchody mają konsystencję stałą i składają się z wielu bryłek o różnych rozmiarach – do 10 cm długości i kilku centymetrów średnicy. Ponieważ dziki są wszystkożerne, to skład ich ekskrementów jest różny. Są barwy ciemnej, z resztkami roślin, często z fragmentami chitynowych pancerzyków zjedzonych wcześniej owadów lub sierścią, jeśli dziki akurat żywiły się padliną. Latem, kiedy jedzą dużo soczystych części roślin, odchody są bardziej płynne.

5. KUNA LEŚNA – klasyczna kupa to spiralnie skręcone i wydłużone wałki. Jesienią może zawierać dużo pestek i fragmenty owoców, które kuna chętnie zjada. Odchody zazwyczaj znajdują się w widocznych miejscach – na pniach drzew, kamieniach, słupkach oddziałowych. W przeciwieństwie do z daleka śmierdzących odchodów kuny domowej, te mają woń raczej neutralną.

6. NIEDŹWIEDŹ – wygląd odchodów największego krajowego drapieżnika zależy od rodzaju pokarmu. Jesienią, gdy zwierzę intensywnie żeruje wśród łanów borówek i nie gardzi innym pokarmem roślinnym, mają różny, czasem nieregularny kształt i można w nich dostrzec pestki i inne fragmenty owoców. Kiedy miś jest na „diecie mięsnej", jego odchody zawierają resztki sierści, kości oraz fragmenty owadów (np. mrówki), które, pomimo niewielkich rozmiarów, są ważnym składnikiem niedźwiedziego menu.

2

Fot. Grzegorz Okołów

3

Fot. Grzegorz Okołów

— Odchody zwierząt są źródłem informacji nie tylko dla badaczy. Dla zwierząt są swego rodzaju sygnałem. —

5

Fot. Grzegorz Okołów

4

Fot. Grzegorz Okołów

6

Fot. Grzegorz Okołów

ŚWIĘTA PACHNĄCE CHOINKĄ

TRUDNO WYOBRAZIĆ SOBIE WIGILIĘ I BOŻE NARODZENIE BEZ CHOINKI – NAJLEPIEJ, RZECZ JASNA, PRAWDZIWEJ. W PRZESZŁOŚCI DO KUPOWANIA TYCH WYTWARZANYCH Z TWORZYW SZTUCZNYCH ZACHĘCAŁY REKLAMY, PRZEKONUJĄCE, ŻE PONOĆ W TEN SPOSÓB OSZCZĘDZAMY LAS. ZOBACZMY WIĘC, SKĄD BIORĄ SIĘ ŻYWE DRZEWKA, KTÓRE, ŚWIĄTECZNIE OZDOBIONE, ZAJMUJĄ TAK WAŻNE MIEJSCE W NASZYCH DOMACH.

TEKST: **Krzysztof Kamiński**

Fot. Krzysztof Kamiński

CHOINKI
z tej podkarpackiej plantacji trafią do naszych mieszkań.

Popyt na prawdziwe choinki nie słabnie, lecz Lasy Państwowe od dawna nie są już monopolistami na tym rynku. Co roku średnio sprzedają 100 tysięcy drzewek. Stopniowo rośnie konkurencja ze strony prywatnych plantacji iglaków, przeznaczanych na sprzedaż właśnie w okresie bożonarodzeniowym. Sporo się też importuje.

– Zainteresowanie naturalnymi choinkami rośnie – zapewnia Edward Marszałek, rzecznik prasowy Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie. – Oferują je wszystkie nasze nadleśnictwa. Ceny mamy przystępne, nie odstraszają klientów. Żywe drzewka można kupić bez trudu nie tylko w jednostkach Lasów Państwowych, także na bazarach i przed dużymi marketami.

Z całą pewnością na przedświąteczną sprzedaż nie poświęca się młodników, z których ma powstać las. W leśnictwach na potrzeby grudniowej sprzedaży tworzy się specjalne uprawy krótkoterminowe, np. na gruntach porolnych czy w kwaterach likwidowanych szkółek. Część towaru pochodzi z prowadzonych w lasach tzw. wycinek przedplonowych kilkuletnich drzew. Najwięcej – z wycinki spod linii energetycznych, gdzie drzewa, ze względów bezpieczeństwa, mogą sięgać najwyżej do 4 m wysokości.

Do wycinki wybiera się kilkuletnie drzewka. Zazwyczaj są to świerk pospolity lub inne gatunki świerków, w tym odmiany ozdobne, jodła kalifornijska, jodła koreańska, daglezja czy sosna czarna. Często oferowane są same, ładnie uformowane, wierzchołki nieco starszych drzew. Ostatnio coraz większym zainteresowaniem cieszą się sosenki, bo mocno pachną. Przez okrągły rok leśnicy sprzedają także stroisz, czyli gałęzie drzew iglastych – w grudniu na świąteczne stroiki, w pozostałych miesiącach – na wieńce.

Chętnie – z zamiarem późniejszego przeniesienia na działkę – kupujemy choinki ukorzenione. To przesadzenie nie zawsze kończy się tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Bywa, że wyjętemu z gruntu drzewku przed umieszczeniem w donicy przycina się, niemieszczącą się w niej, zbyt dużą bryłę korzeniową. Takie przeżyje u nas w domu najwyżej miesiąc, potem nie ma dla niego ratunku. Do „recyklingu", a więc nadania drugiego życia, w gruncie, nadają się tylko te choinki, które od początku, w szkółce, wyrosły w donicy.

DWA TYSIĄCE Z LEŻAJSKA

Z nadleśnictw podległych RDLP w Krośnie co roku trafia do handlu kilka tysięcy choinek. W 2012 r. 3,5 tys., dwa lata później – 5 tys., a w ubiegłym roku – 4,8 tys. Najwięcej zawsze dostarcza Nadleśnictwo Leżajsk.

– Mamy specjalne plantacje choinkowe. Pozostałą część pozyskujemy z podszytów jodłowo-świerkowych i z cięć pielęgnacyjnych, które celowo przeprowadzamy w grudniu, żeby drzewka prosto z lasu trafiły do klientów. Od wielu lat sprzedajemy średnio 2 tys. sztuk – mówi Zenon Szkamruk, nadleśniczy z Leżajska.

Poszczególne leśnictwa mają wyznaczoną liczbę drzewek do pozyskania. Trochę sprzedają u siebie, na miejscu, najwięcej – przed siedzibą nadleśnictwa. Tu, przed Wigilią, panuje ruch jak na wielkomiejskim bazarze. Klientów jest tylu, że zielonego towaru nie trzeba już wieźć na sprzedaż z Leżajska do innych miast.

Żywa choinka nie jest droga. Ceny każde nadleśnictwo ustala indywidualnie. Wbrew pozorom, nie jest to złoty interes. Na terenie zarządzanym przez krośnieńską Regionalną Dyrekcję LP ceny choinek na ogół nie przekraczają kosztów ich pozyskania. W ubiegłym roku świerczki do 1,5 m sprzedawano po 20–30 zł, wyższe, do 2,5 m – po 30–50 zł, a za jeszcze większe trzeba było zapłacić 50–60 zł.

– Na tej sprzedaży mamy naprawdę niewielki zarobek – przyznaje nadleśniczy Szkamruk. – Ceny takie, jak wszędzie. Celowo ich nie podnosimy, żeby ludziom nie opłacała się kradzież. Taka polityka daje efekty, nielegalna wycinka drzewek zdarza się u nas sporadycznie.

Jadę zobaczyć choinki jeszcze rosnące w lesie. W nieodległym od Leżajska Leśnictwie Marynin Stanisław Rydzik, miejscowy

Fot. archiwum Nadleśnictwa Leżajsk

NAJWIĘKSZYM WZIĘCIEM *cieszą się 6-letnie jodły i świerki.*

leśniczy, utrzymuje na gruntach porolnych (kiedyś były tu uprawiane warzywa na tzw. deputaty) półtorahektarową plantację świerka i jodły. W tym roku wytypował do wycinki 100 sztuk, a do tego jeszcze 50 z upraw podokapowych.

Mieszkańcy Leżajska i okolic przywykli już do zwyczaju zaopatrywania się w żywe choinki bezpośrednio u leśników. Od połowy grudnia gromadnie odwiedzają plac przed nadleśnictwem. Największe wzięcie zawsze mają jodła i świerk kłujący, 6–8-letnie. Tradycyjnie też popularnością cieszą się również mniejsze, 4–5-letnie choinki w doniczkach.

AKCJA „CHOINKA"

Przedświąteczny okres to dla służby leśnej czas wzmożonej czujności, bo to także sezon nasilonego kłusownictwa i kradzieży. Akcja polega na częstszej niż zwykle obserwacji drzewostanów, zwłaszcza młodników, skąd może być wywożony ten sezonowy towar. Oprócz terenów leśnych kontroluje się też place targowe i miejsca okazjonalnej sprzedaży. Straż Leśna, wspólnie z funkcjonariuszami policji i straży miejskiej, skrupulatnie sprawdza legalność pochodzenia oferowanych drzewek.

– Co roku wykrywamy kilkadziesiąt przypadków kradzieży. Podczas ubiegłorocznej akcji „Choinka" odnotowaliśmy największe w ostatnich latach nielegalne pozyskanie – 99 sztuk choinek i 21 m sześc. jodłowego stroiszu. Sporządziliśmy wnioski o ukaranie sprawców. Za udowodnioną kradzież grozi mandat do 500 zł, a przyłapanie na wywożeniu większej ilości kończy się skierowaniem sprawy do sądu – opowiada Wojciech Zajdel, specjalista ds. obronności i ochrony mienia RDLP w Krośnie.

Przedświąteczne kontrole bazarów mają charakter głównie prewencyjny. – Chodzi o to, żeby odstraszyć, zniechęcić złodziei – dodaje Wojciech Zajdel. – Po co ryzykować, jeżeli dostępność legalnego, wartościowego towaru z plantacji czy z leśnictw jest wystarczająca, a przy tym ceny nie są wygórowane. Ludzie stają się coraz wygodniejsi i to, w tej sytuacji, akurat zjawisko korzystne.

Kradzieże, zwłaszcza gałązek na stroiki i wieńce pogrzebowe, to proceder trwający cały rok. Nasila się w okresie bożonarodzeniowym i przed 1 listopada. Jak mówi Wojciech Zajdel, na terenie nadleśnictw: Bircza, Krasiczyn i Dynów najczęściej wpadają ci, którzy obłamują gałęzie jodłowe, przygotowują z nich stosy przy drogach, a potem pośpiesznie ładują do samochodu i wywożą na sprzedaż daleko, do Warszawy albo do innych dużych miast. A co się dzieje ze skonfiskowanym podczas kontroli towarem? Nieodpłatnie przekazywany jest do domów dziecka, szkół, kościołów itp.

– Lasy Państwowe podtrzymują tradycję stawiania w domu żywego bożonarodzeniowego drzewka – podkreśla Edward Marszałek. – A polscy leśnicy realizują też zamówienia specjalne, dostarczając okazałe, strzeliste choinki np. na plac Świętego Piotra czy do Brukseli. ❡

PRYMUS WŚRÓD DRZEW

TOPOLA CZARNA *z Ostromecka (woj. kujawsko-pomorskie). Drzewo pomnikowe o obwodzie ponad 9 m.*

Fot. Krzysztof Borkowski

TOPOLA NIE JEST DRZEWEM LUBIANYM. CZEPIAJĄ SIĘ JEJ ALERGICY, BO PRZECIEŻ PYLI JAK SZALONA, KRĘCĄC W NOSACH NA POTĘGĘ. DROGOWCY, BO SZYBKO ROŚNIE I RÓWNIE SZYBKO PADA, NIERZADKO NA DROGI, PRZY KTÓRYCH JEST SADZONA. STOLARZE SIĘ DO NIEJ NAWET NIE DOTYKAJĄ, BO CO TO ZA DREWNO – MIĘKKIE, LEKKIE I PEŁNE WODY, RACZEJ NA CELULOZĘ NIŻ STÓŁ. NADAJE SIĘ TYLKO DO JEDNEGO" – KTOŚ MÓGŁBY POWIEDZIEĆ – „DO DAWANIA CIENIA". „I NA ZAPAŁKI" – DODAŁBY KTOŚ INNY.

TEKST: **Adam Robiński**

Rzeczywiście, jeśli ustawić drzewo rodzaju *Populus* (z rodziny wierzbowatych) w jednym szeregu z dębami, lipami, bukami czy nawet jesionami, nie wyda się czymś nadzwyczajnym. Ot, dorasta, w zależności od gatunku do 30 lub 40 m wysokości. Warto posadzić je przy polnej drodze, by dawało cień w największe upały. I nic poza tym. Kto tak myśli, mija się jednak z prawdą.

TOPOLA BIAŁA.

Fot. Wojciech Gil

TO CIEKAWE

Wielu topolę kojarzy głównie z jej włoskim kultywarem (odmianą). Ten wyhodowany na przełomie XVII i XVIII w. mutant środkowoazjatyckiej rasy topoli czarnej to bardzo charakterystyczne drzewo ozdobne. Zwarte, rosnące pionowo (co dotyczy także gałęzi), przypomina bardziej słup niż typowe drzewo obdarzone koroną. Z uwagi na wygląd często sadzona jest w miastach i przy drogach. Zajmuje małą powierzchnię, a szczupła sylwetka sprawia, że nie straszny jej silny wiatr. Rośnie jak błyskawica – nawet dwa metry rocznie, w wieku kilkunastu lat osiągając 30 m. W krajobrazie miejskim jest więc ozdobą, po którą chętnie sięgają architekci. Na wsi bywała z kolei... piorunochronem.

Gatunków topoli jest około czterdziestu, ale tylko trzy z nich są w Polsce rodzime. To topola biała, czarna i drżąca, czyli osika. Jest jeszcze czwarta, szara, jednak w praktyce to tylko mieszaniec – choć naturalny – pierwszej i ostatniej. Biała – zwana białodrzewem – oraz czarna – sokorą, jasiokorem lub topolą nadwiślańską – tworzy łęgi w nadrzecznych dolinach, w których w glebie aż nadto wilgoci. Osika, najbardziej rozpowszechniona z polskich topól, to już typowy mieszkaniec lasów liściastych.

Topole to drzewa duże, wysokie i… popularne. No cóż, łacińska nazwa rodzajowa nie wzięła się przecież znikąd. Są wyjątkowo mało wymagającymi drzewami, wszędzie rośnie im się dobrze, często, niczym gatunki pionierskie, zasiedlają nowe tereny. Ale z racji tego, że czarna, biała i osika to jednak trzy zupełnie różne drzewa, przyjrzeć się im trzeba osobno.

OSIKA
zwalona przez bobry.

Fot. Jarosław Szałata

W CZERNI I BIELI

Zacznijmy od czarnej, i to z prozaicznej przyczyny – tych drzew jest w Polsce coraz mniej – wypierane są ze swoich naturalnych siedlisk przez obce gatunki topoli. W tym zresztą pomaga człowiek. Kiedyś masowo sadzona przy drogach, dziś jest stamtąd równie energicznie usuwana w imię poprawy bezpieczeństwa kierowców. Wciąż jednak stosunkowo łatwo spotkać ją – co sugeruje zresztą wspomniana druga jej nazwa – nad Wisłą, w łęgach topolowo-wierzbowych. Zwykle góruje tam nad otoczeniem, ale poza majestatycznym wyglądem poznać ją można po charakterystycznym pniu, widlastym i pokrytym licznymi narośla mi i bruzdami. Topola czarna co rusz puszcza z niego młode pędy, dając wrażenie pewnego chaosu czy nieładu. Sam pień jest potężny, ponad dwa metry średnicy nie jest u tych drzew rzadkością. Kora mieni się odcieniami szarości, przechodzącej w brąz, choć u wielu osobników jest po

prostu czarna. I wreszcie liście – w kształcie przypominające brzozowe, jednak sporo od nich większe i sztywniejsze.

Równie potężna potrafi być topola biała, łatwo dorastająca do 30 m wysokości. Niedouczeni studenci botaniki mylą ją czasem z brzozą. Ale nie z powodu liści. Winna temu jest kora topoli białej, przy spodzie pnia ciemna, wyżej gładka i jasnoszara, a czasem nawet biała jak śnieg. Jej liście przypominają z kolei klonowe, jednak ciemna zieleń ich wierzchniej strony skontrastowana jest ze srebrzystym spodem.

Topole białe ramię w ramię z czarnymi często rywalizują o miano drzew „naj": najgrubszych, najwyższych, najbardziej rozłożystych. Jak powalony niedawno starością w wieku ok. 330 lat okaz z podwarszawskiego Leszna, o imponujących 14 metrach obwodu pnia przy samej ziemi i niemal 10 metrach w pierśnicy.

Z OSIKĄ NA WAMPIRA

Na drugim biegunie znajduje się osika. Średniej wysokości, niepozorna, często ginąca w otoczeniu innych drzew. Brak jej majestatu gatunków siostrzanych, głównie z uwagi na krótkie życie. Osiki żyją średnio 60 lat, nie zdążą porządnie dorosnąć. Mają za to inne atuty – są w stanie migiem opanować teren nieodnowionego zrębu lub leżącego odłogiem pola uprawnego, rosnąc nawet po metr w ciągu roku. To wyjątkowo wytrzymałe drzewo – odporne na mrozy, upały i zanieczyszczenia, a wszystkie te cechy zebrane w całość czynią ją doskonałym drzewem na terenach rekultywacji pogórniczych. Najgrubsza osika rośnie w jesionowo-jodłowym lesie nieopodal Jastrewa w Nadleśnictwie Brzesko. Biorąc pod uwagę jej młody wiek – ma zaledwie ponad czterdziestkę – i dobre zdrowie, być może, przerośnie jeszcze swoje 461 cm obwodu.

Osiki giganty to jednak ewenement, zresztą drzewo to czym innym zwraca na siebie uwagę – liśćmi. Niewielkie, niemal okrągłe, mocno ząbkowane, wprawiane są w drganie przez najmniejszy nawet powiew wiatru. To stąd bierze się jego druga nazwa – topola drżąca lub – zdecydowanie bardziej potoczna, ludowa – trzęsidupa.

TO CIEKAWE

Topole to rośliny dwupienne, wiatropylne. Kotki męskie są grube i czerwone, podczas gdy żeńskie – smukłe i żółtozielone. Kwitną najwcześniej ze wszystkich drzew, czego najlepszą ilustracją są wczesnowiosenne dywany z pyłku, wyścielające niczym śnieg miejskie chodniki. Topola produkuje również mnóstwo nasion – duże drzewo może ich wytworzyć nawet 25 mln rocznie. I choć wszystko to może brzmieć przerażająco dla alergików – uczula dużo rzadziej niż inne drzewa.

O drżącej topoli pisał w „Panu Tadeuszu" Mickiewicz, a w wierzeniach ludowych tłumaczono tę jej właściwość choćby w taki sposób. „Podobno wszystkie inne drzewa odmówiły zdrajcy Jezusowemu swych gałęzi i tylko osika użyczyła mu swoich. Poniewczasie, przejęta swą uległością, drży teraz ciągle przed gniewem bożym". Inne źródła mówią – o czym pisze Edward Marszałek z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie w jednym ze swych opracowań na temat ludowych wierzeń związanych z drzewami, że „sam diabeł lubi na niej przesiadywać, a drzewo wówczas trzęsie się ze strachu" . Jakkolwiek by było, faktem jest, że osika potrafi drżeć nawet przy najmniejszym, niezauważalnym ruchu powietrza. Gdy inne drzewa stoją w milczeniu, ona szeleści jak kartka papieru. I mniejsza o to, czy z lęku przed jakimiś siłami. Ważne, że jest pierwszym drzewem do rozpoznania ze słuchu.

POD RĘKĘ Z TRUSKAWKĄ

Żeby już zupełnie wyczerpać temat ludowych wierzeń – to właśnie osikowym kołkiem skutecznie zabić można było wampira i to osikowy kij wbijano w grób pochowanego na rozstaju dróg samobójcy, co powstrzymać go miało przed powrotem do świata żywych. Dla pewności i trumnę warto też było uszczelnić osiką.

Dziś korzyści, które ludzie czerpią z topolowego drewna są o wiele bardziej prozaiczne. Robi się z niego głównie to, co ma być lekkie: wszelkiego rodzaju opakowania, palety, okleiny, sklejki i zapałki. Oraz – co zaraz przysporzy temu drewnu wielu miłośników – plecie się z niego kobiałki na truskawki. Próżno szukać topolowych mebli, bo i szybko by się takowe rozleciały.

W celach gospodarczych uprawia się głównie gatunki mieszane. Plantacji ubywa, jeśli nie liczyć osiki. W zasobach zarządzanych przez Lasy Państwowe topola stanowi raptem 0,1 proc. zasobów drzewnych na pniu.

Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą zawdzięczamy topolom. W 2006 r. prestiżowy magazyn naukowy „Science" ogłosił, że topola kalifornijska została pierwszym drzewem, którego DNA udało się w całości zsekwencjonować. Tym samym topola wyszła przed szereg, okazała się prymusem pośród drzew. ¶

LIŚCIE OSIKI.

Fot. Paweł Fabijański

LIŚCIE TOPOLI *białej.*

Fot. Wojciech Gil

JAKIE TO DRZEWO?

Liście. To dzięki nim najczęściej rozpoznajemy gatunki polskich drzew. Co jednak zrobić zimą, kiedy liście opadły? Przyjrzeć się pędom i pąkom. Rozróżnianie gatunków na ich przykładzie nie jest trudne!

DĄB SZYPUŁKOWY
Quercus robur

Pąki jajowate, krótkie, przytępione na wierzchołkach. Skupione na końcach pędów, pięciograniaste.

Gałązki szare, brązowe lub nawet czerwonobrązowe. Nagie, połyskujące, o pięciokątnym przekroju, niekiedy pokryte lekkim woskowatym nalotem.

BRZOZA BRODAWKOWATA
Betula pendula

Pąki nagie, lepkie, u nasady rozszerzone, na wierzchołku zaostrzone, drobne.

Gałązki cienkie i długie. Okrągłe, błyszczące, od brunatnoczerwonych do ciemnobrunatnych. Pokryte licznymi „brodawkami".

JESION WYNIOSŁY
Fraxinus excelsior

Pąki matowe, czarnobrunatne lub czarne. Pokryte dwiema łuskami. Czterokanciaste, ostro zakończone. Szczytowe są większe z czterema łuskami.

Młode gałązki są nagie, okrągłe lub owalne, szarozielone. Grube, spłaszczone, pokryte białawymi kropkami.

OLSZA CZARNA
Alnus glutinosa

Gałązki kanciaste. Młode są zielone, później stają się ciemnobrązowe, nagie.

Na gałązkach często obecne charakterystyczne „szyszeczki", czyli owocostany osadzone na długich szypułkach.

Pąki jajowate, wyrastają na trzoneczkach. Pokryte ciemnofioletowymi łuskami i woskowym nalotem, lepkie.

LESZCZYNA POSPOLITA
Corylus avellana

Gałązki okrągłe, cienkie. Przeważnie szare, czasem brunatne, gruczołkowato owłosione.

Pąki w kolorach od zielonkawego do ciemnobrunatnego. Pokryte ciemnoobrzeżonymi, orzęsionymi na brzegach łuskami, jajowate, tępo zakończone.

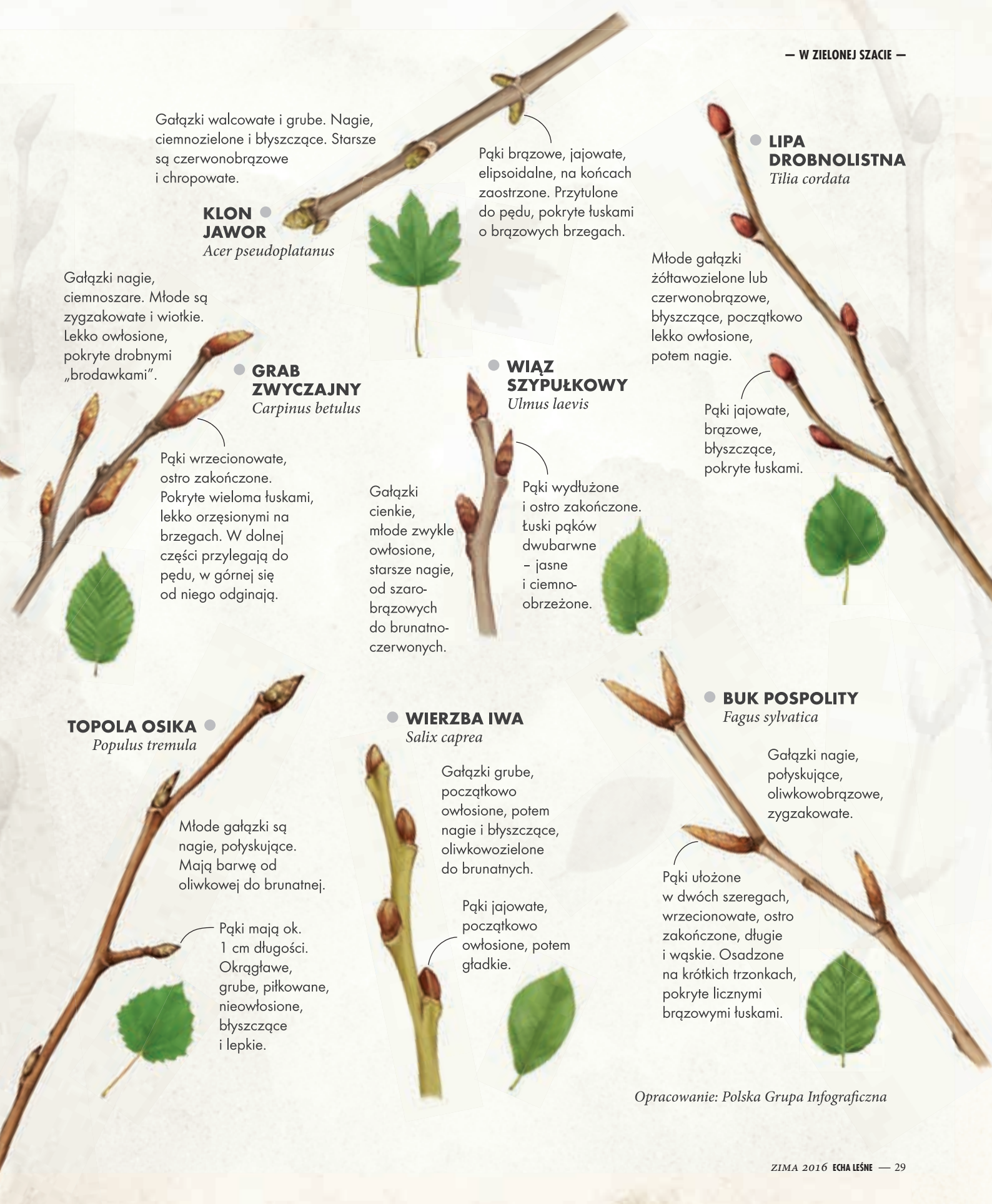

Gałązki walcowate i grube. Nagie, ciemnozielone i błyszczące. Starsze są czerwonobrązowe i chropowate.

Pąki brązowe, jajowate, elipsoidalne, na końcach zaostrzone. Przytulone do pędu, pokryte łuskami o brązowych brzegach.

KLON JAWOR
Acer pseudoplatanus

LIPA DROBNOLISTNA
Tilia cordata

Młode gałązki żółtawozielone lub czerwonobrązowe, błyszczące, początkowo lekko owłosione, potem nagie.

Pąki jajowate, brązowe, błyszczące, pokryte łuskami.

Gałązki nagie, ciemnoszare. Młode są zygzakowate i wiotkie. Lekko owłosione, pokryte drobnymi „brodawkami".

GRAB ZWYCZAJNY
Carpinus betulus

Pąki wrzecionowate, ostro zakończone. Pokryte wieloma łuskami, lekko orzęsionymi na brzegach. W dolnej części przylegają do pędu, w górnej się od niego odginają.

WIĄZ SZYPUŁKOWY
Ulmus laevis

Gałązki cienkie, młode zwykle owłosione, starsze nagie, od szaro-brązowych do brunatno-czerwonych.

Pąki wydłużone i ostro zakończone. Łuski pąków dwubarwne – jasne i ciemno-obrzeżone.

BUK POSPOLITY
Fagus sylvatica

Gałązki nagie, połyskujące, oliwkowobrązowe, zygzakowate.

Pąki ułożone w dwóch szeregach, wrzecionowate, ostro zakończone, długie i wąskie. Osadzone na krótkich trzonkach, pokryte licznymi brązowymi łuskami.

TOPOLA OSIKA
Populus tremula

Młode gałązki są nagie, połyskujące. Mają barwę od oliwkowej do brunatnej.

Pąki mają ok. 1 cm długości. Okrągławe, grube, piłkowane, nieowłosione, błyszczące i lepkie.

WIERZBA IWA
Salix caprea

Gałązki grube, początkowo owłosione, potem nagie i błyszczące, oliwkowozielone do brunatnych.

Pąki jajowate, początkowo owłosione, potem gładkie.

Opracowanie: Polska Grupa Infograficzna

A TO WYDRA!

NIEUCHWYTNA, ZWINNA, INTELIGENTNA. NA ŁOWY RUSZA NOCĄ, NAJCZĘŚCIEJ WIĘC POZOSTAJE NIEZAUWAŻONA. ZATEM FAKT, ŻE STAJE SIĘ CORAZ LICZNIEJSZA, SPOSTRZEGLI GŁÓWNIE BADACZE SSAKÓW I HODOWCY RYB. DO NIEDAWNA UCHODZIŁA ZA RZADKOŚĆ, JEJ WIZERUNEK ZNALAZŁ SIĘ NAWET NA EMBLEMACIE KONWENCJI BERNEŃSKIEJ, ZAJMUJĄCEJ SIĘ ZAGROŻONYMI GATUNKAMI. JEDNAK DZIŚ MA SIĘ U NAS NIEŹLE. CORAZ CZĘŚCIEJ BYWA TEŻ W LASACH, I TO NA PIECHOTĘ.

TEKST: **Tomasz Kłosowski** ZDJĘCIA: **G&T Kłosowscy**

Rzeka meandruje wśród lodowych tafli, skuwających jej przybrzeżne płycizny. Wartko płynie tylko jej główny nurt, tworzący zaplątaną wśród lodów wąską strugę. To w takich właśnie warunkach najłatwiej zaobserwować wydrę. Chętnie wychodzi z wody na lód, by tu, na widoku, pałaszować rybę. Nic, tylko ustawić się dyskretnie na wale przeciwpowodziowym i obserwować. Ale nasz przewodnik, dr Jerzy Romanowski, od lat badacz wydr, radzi, by iść gdzie indziej. Po przeciwnej stronie wału, przy skraju pradoliny, ciągnie się sine pasmo bezlistnego olchowego łęgu. Drzewa, stojące przez większość roku w wodzie, teraz zewsząd otacza na wpół roztopiona lodowa breja, zaś przez środek tego lasu ciągnie się coś, będące ni to rzeczułką, ni kanałem. Woda tu niezbyt przejrzysta, jej tafla niepostrzeżenie przechodzi w ogarniające większość lasu zamarznięte zalewisko, nurt słaby...

– Jeszcze kilkanaście lat temu bym was tu nie przyprowadził! – zapewnia dr Romanowski. – Ale dziś mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że to dobre miejsce do obserwowania wydr.

WARTO WIEDZIEĆ

WYDRA (*LUTRA LUTRA*)

Jest przedstawicielem ssaków z rodziny łasicowatych. Zamieszkuje wszelkie wody, zwłaszcza płynące i czyste. Samce są większe od samic, co jednak niewprawnemu oku trudno zauważyć. Jej pożywienie to przede wszystkim ryby, łowione zarówno bezpośrednio w wodzie, jak również – nieco częściej – wydobywane z podwodnych kryjówek pod nawisłymi brzegami, korzeniami, wykrotami itp. Nie wzgardza też znajdowanymi tam, zimującymi w ukryciu płazami. Może być niebezpieczna dla niektórych mniejszych ssaków wodnych, a nawet żyjących w pobliżu wody ptaków. Znana jest u tych łowców skłonność do odkładania zdobyczy na później, podobno wydra potrafi nawet umiejętnie okaleczać ryby lub żaby, nie zabijając ich jednak, tylko pozbawiając możliwości ucieczki i w ten sposób zapewnić sobie świeżą zdobycz na później.

BYSTRZAK W MĘTNEJ WODZIE

Miejsce jest dobre już choćby dlatego, że zaciszne, zimny wiatr tu nie hula, można się też skryć za drzewem. Mamy szansę? Nasz przewodnik wraz z kolegami, też badaczami, oceniali prawdopodobieństwo spotkania z wydrą podczas patroli w ustalonych miejscach. I gdy jeszcze w latach 90. ubiegłego stulecia wypadało ono na poziomie 50 procent, to dziesięć lat później już 70, a dziś – 90. To utwierdza nas w przekonaniu, że warto rozstawić kamerę i poczekać.

Chwalebnie, wzrosła nam liczebność wydr, choć jeszcze do niedawna uchodziły w Europie za zagrożone wymarciem. Jak nam objaśnia badacz, wcześniejszy spadek w XX w. tych niegdyś pospolitych zwierząt to zapewne skutek zanieczyszczenia środowiska, przede wszystkim metalami ciężkimi. Odbiło się to fatalnie nie tylko na losach wydry, ale także losach zwierząt stanowiących pokarm tego drapieżnika. Stężenie szkodliwych substancji w środowisku jednak z czasem malało, więc to, co biolodzy nazywają łańcuchem pokarmowym, zaczęło wracać do normy. Widocznym tego wyrazem był powrót wydr. Widocznym chyba nie dla wszystkich i nie wszędzie tak samo. Zwłaszcza w mętnej wodzie. Bo choć wydra jest wrażliwa na skażenia chemiczne, niezbyt jej przeszkadza naturalne zanieczyszczenie wód, ich mulistość, obecność osadów naturalnego pochodzenia. Owszem, przejrzyste wody ceni sobie szczególnie, ale osobniki rozrastającej się na nowo populacji nie mają oporów, by osiedlić się także w tych mniej klarownych.

Z PŁOTKĄ POD PACHĄ

To drapieżca doskonale i wszechstronnie wyposażony. W wodzie orientuje się nie tylko za pomocą bystrych oczu, skrytych pod nieprze-

Z NATURY *jest samotnikiem...*

...TYLKO *w czasie godów żyje gromadnie.*

makalną powieką, ale też mocno rozwiniętego zmysłu dotyku. Pokaźne wąsy czuciowe, czyli wibrysy – to chyba najbardziej charakterystyczna cecha wydrzej fizjonomii. Pozwalają łowić zdobycz po ciemku, a w dzień – także w niezbyt przejrzystej wodzie, poza tym penetrować podwodne nory i nisze w brzegach, skąd można wyciągać szukające tam schronienia ryby, ale też np. żaby.

Wydra wszakże jest przede wszystkim naturalnym rybakiem, ale nie wzgardzi też inną, byle żywą i świeżą zdobyczą. Jej ofiarą padają ptaki wodne i ich pisklęta, ssaki, jak choćby karczownik, również ssaki zdecydowanie lądowe, nawet pospolite polne myszy. Jest łowcą wielostronnym i sprawnym. Tylko rzadko kto miał okazję przekonać się o tej sprawności naocznie. Co najwyżej, widzimy tego wodnego myśliwego, jak już raczy się zdobyczą, a zwykle wcale się z tym nie kryje.

Dr Jerzy Romanowski miał jednak okazję oglądać polowanie wydry w Niemczech, w specjalnym basenie hodowlanym. – Chwytała płotkę, chowała sobie pod pachę, łapała drugą... W ten sposób w ciągu minuty wyłapała wszystkie sześć ryb! – mówi z uznaniem.

TO CIEKAWE

ZALOTY W ZIMNEJ WODZIE

Okres godowy wydr przypada na koniec zimy. Samotnicze z natury zwierzęta pojawiają się wtedy parami albo w nieco większych grupach. Samce zapalczywie zabiegają o dostęp do samic, z którymi zresztą nie łączą się na dłużej i nie tworzą stałych par. Ich walki kończą się nieraz dotkliwymi ranami, a pilni obserwatorzy tych zwierząt potrafią nawet przez kolejne sezony rozpoznawać osobniki po charakterystycznych bliznach i uszczerbkach na ciele. W okresie godów zwierzęta te do pewnego stopnia ignorują granice rewirów, które sobie uprzednio wyznaczyły. Jeden osobnik okupuje ok. 2–3 km biegu rzeki. Aktywność w okresie zimy i odbywanie podczas jej trwania godów nie zmienia faktu, że bardzo ostre zimy, którym towarzyszy zamarzanie wód, nieraz prawie do dna, potrafią dziesiątkować społeczność tych, skądinąd dość odpornych na chłód, ssaków.

ŁOWCA NA ZJEŻDŻALNI

Nasz przewodnik zauważa też, że sprawność łowiecka pozwala wydrze nie tracić zbyt dużo czasu na zdobywanie pokarmu. Ale zwierzę o żywym usposobieniu, przywykłe do pilnego obserwowania otoczenia, nie uznaje nudy. Więc poszukuje okazji do zabawy...

Obecny w naszej ekipie leśniczy Piotr Dombrowski od lat je tropi. Obecny, ale co chwilę staje się... nieobecny. Ma na sobie specjalny strój „na zimowe wydry" – biały z deseniem w formie gałęzi. Więc jak tylko odejdzie kilkanaście kroków, staje się... niewidoczny na tle lodu i zimowych badyli. W takim stroju – jak sądził – będzie mógł śmiało tkwić nad brzegiem albo wędrować wzdłuż nurtu. Tymczasem z niemałym zdumieniem odkrył, że niektóre sztuki nie dość, że go widzą, to jeszcze wychodzą mu naprzeciw i dalejże baraszkować na lodzie! Jakby się chciały popisać. Takie zachowanie, sprawiające wrażenie, iż jesteśmy wciągani do zabawy, opisują także inni obserwatorzy. Dr Romanowski przyznaje, że wydry przejawiają tego rodzaju skłonność, a igraszki, kształcąc ich mózgi, czynią je zwierzętami inteligentnymi.

Osobniki, które znajdą się pod opieką ludzi, dają popisy sprytu, psocąc w domu, a nawet odkręcając krany, jakby nie mogły ani chwili żyć bez swego naturalnego, wodnego żywiołu. Ba, w naturze urządzają wręcz sobie place zabaw w postaci zjeżdżalni na stromych skarpach rzek, których nie brak tam, gdzie niewielkie rzeki przebijają się przez lasy.

ŚCIEŻKĄ POŚRÓD DRZEW

Pewien tropiciel ze zdumieniem zaczął odkrywać wydrze tropy w sercu Puszczy Knyszyńskiej. Owszem, ten kompleks leśny przecinają liczne rzeczułki, ale szkopuł w tym, że owe tropy biegły kilka kilometrów od wo-

dy, a dr Romanowski potwierdza, że zwierzęta były spotykane nawet 20 km od niej. Wydra bowiem, w przeciwieństwie do innych rezydentów wód, choćby bobra, bardzo sprawnie porusza się i biega na lądzie. Także po leśnych ścieżkach.

Do lasu przyciąga ją to, że w brzegach płynących tędy cieków jest mnóstwo korzeni, a między nimi pełno nisz i nor. To nie tylko spiżarnie z żywym pokarmem w postaci ryb i zimujących płazów. To także dogodne domostwa, miejsca odpoczynku i wychowania młodych, zwłaszcza że ssak ten nie potrafi sam wygrzebać potrzebnej mu nory. Jego związek z lasem znalazł nawet wyraz w instrukcjach sieci „Natura 2000", dotyczących ochrony tego gatunku, w których można przeczytać, że „stosunkowo czyste wody rzek śródleśnych powinny być utrzymywane w swym naturalnym charakterze." Czyli takim, który naszej bohaterce najlepiej służy.

JAK SIOSTRA Z BRATEM

Szczególnie często wydrę do lasu wprowadza bóbr. Temu inżynierowi wodnemu bardzo sprzyjają leśne odcinki rzek, bo jest tam dość drzew, z których można budować tamy. Zalewisko, nad którym stoimy, to też wyraźnie efekt jego roboty. W takich zalewach wydra bywa pierwszym gościem, a wkrótce potem mieszkańcem. Nasz ekspert podkreśla, że oba ssaki nie wchodzą sobie w drogę i wzajemnie nie przeszkadzają, nieraz siedzą obok siebie niczym siostra z bratem. Obu gatunkom bardzo też pomógł w zasiedlaniu naszych puszcz program małej retencji, prowadzony przez Lasy Państwowe. Tak to wydra i z bobrem, i z lasem się zbratała…

Opadające ku zachodowi zimowe słońce zaczyna już rzucać spomiędzy drzew na lód różowe smugi, gdy w pewnej odległości z wody na zmarzłą taflę wymyka się czarna postać. Mokra, lśniąc w słońcu, wygląda jak odlana z brązu. To wydra. Za chwilę, tuż za nią, wypełzają dwie następne, wreszcie jeszcze jedna. Z dala przypominają nam trochę małe foki.

Wydra jest z natury samotnikiem. Taka gromadna obecność świadczy o jednym: zaczęły się gody i związane z tym zapalczywe pogonie kilku samców za jedną samicą. Wyraźnie to widzimy. Czyli – wkrótce będą młode, liczebność znów wzrośnie. Wierzymy ekspertowi, że niebawem szanse takich spotkań podczas zimowej wyprawy nad dzikie wody przekroczą 90 procent! ¶

TOWARZYSKIE SPOTKANIE
z bobrem.

NA BRZOZOWEJ KORZE *pisano kiedyś jak na papierze.*

PAPIEROWE DREWNO

SIĘGAMY PO ULUBIONE CZASOPISMO, PACHNĄCE JESZCZE DRUKARSKĄ FARBĄ. WERTUJEMY KARTKI, ZACHWYCAMY SIĘ PIĘKNYMI FOTOGRAFIAMI, ŚLEDZIMY TYTUŁY, SZUKAMY FELIETONU LUB TEKSTU ULUBIONEGO AUTORA. ALE CZY ZASTANAWIAMY SIĘ , JAK I Z CZEGO POWSTAJE PAPIER?

TEKST I ZDJĘCIA: **Jarosław Szałata,** leśniczy Leśnictwa Pszczew, Nadleśnictwo Trzciel (RDLP Szczecin)

W dobie przekazu elektronicznego, coraz bardziej obrazkowych informacji i ekspansji komputerów papier wydaje się nam jakby mniej ważny. Jednak wciąż znajduje wiele różnych zastosowań. I jest to przecież przede wszystkim materiał do uwieczniania naszych myśli – dość trwały, lekki, niedrogi i powszechnie dostępny. Kartkę oraz długopis zawsze mamy pod ręką, żeby zapisać ważną informację czy numer telefonu. W każdym domu są też gazety i książki, bez których wciąż trudno nam żyć. Z papieru są ręczniki, chusteczki higieniczne, tapety ścienne, opakowania i banknoty. Wspomnę też nieśmiało o papierze toaletowym. Jak ludzie mogli się kiedyś bez niego obejść? Dziś jest nam niezbędny i powszechnie dostępny, choć zadebiutował na rynku, w Stanach Zjednoczonych, dopiero w 1857 r. Dziś mówi się, że Europejczycy rocznie zużywają 22 mld rolek tego papieru, czyli ilość, którą dałoby się opleść kulę ziemską 12 tysięcy razy.

NIE TYLKO NA DESKI

Czasem złośliwie nazywa się leśników „deskorobami", sugerując, że najważniejsze w ich pracy jest pozyskanie drewna, potem przerabianego na deski. To prawda, produkcja surowca jest ważna, ale nie można jej stawiać przed ochroną przyrody, krajobrazu czy funkcją rekreacyjną, turystyczną i kulturową lasu. Ale przecież od lat wysoka pozycja leśników w rankingach społecznego zaufania wyraźnie przeczy teoriom o dominacji „produkcyjnego zarządzania" lasem. Z drugiej strony, wszyscy potrzebują drewna, które ma około 30 tysięcy zastosowań. Ten wciąż niezastąpiony, a przy tym odnawialny surowiec jest m.in. przerabiany na materiały przemysłowe oraz budowlane. Wielkim odbiorcą drewna pozostaje meblarstwo.

Drewno pochodzące z naszych drzew to jednak nie tylko belki, deski czy wałki lub szczapy opałowe. Spora część surowca, najniższej jakości, pochodzącego z cięć pielęgnacyjnych w młodszych lasach, to tzw. papierówka. Bo – mimo znaczącego postępu technologicznego, rozwoju elektroniki i cyfrowego przesyłania oraz archiwizowania danych – papier wciąż jest poszukiwany. Polskie firmy zużywają miesięcznie ponad 11 mln ryz (ryza to 500 kartek) papieru formatu A4. To mówi samo za siebie.

CHIŃSKI WYNALAZEK

Najstarszą polską, wciąż pracującą papiernią jest – nawiązujący do tradycji, powstałej w drugiej połowie XVIII w. Królewskiej Fabryki Papieru – zakład w Konstancinie-Jeziornie koło Warszawy. Obecnie wyrabia się tam tylko papier dopuszczony do kontaktu z żywnością. Ale pierwsza papiernia na ziemiach polskich powstała w Prądniku Czerwonym pod Krakowem już pod koniec XV w.

Papier towarzyszy ludziom od dwóch tysiącleci. Badania archeologiczne wskazują, że mógł być znany ok. 8 r. p.n.e. Tak stary jest skrawek papieru, pokryty dwudziestoma chińskimi znakami, odnaleziony w Nefrytowej Bramie, strażnicy na początku słynnego Jedwabnego Szlaku. Jednak powszechnie wynalazek ten przypisuje się kanceliście Tsai Lunowi (62–121 r. n.e.) z prowincji Hunan w południowych Chinach, zatrudnionemu na dworze cesarza He Di. Próbował on zastąpić niewygodne i nietrwałe deszczułki w cesarskiej bibliotece innym, bardziej poręcznym materiałem. Owocem tych poszukiwań był papier czerpany. Wynalazek okazał się lekki, zajmował mało miejsca, a przy tym pisało się na nim z łatwością. Zaczęto go więc stosować.

Z czasem umiejętność produkcji papieru zaczęła przenikać do innych krajów. Pierwszym była Korea, do której zawitał w 384 r. Koreańczycy wnieśli też ogromny wkład w rozwój papierniczego rękodzieła – opracowali nową technologię barwienia papieru, pierwsi użyli papierowych kopert itp. W VIII w., w czasie wojny chińsko-arabskiej, dzięki pojmaniu przez Arabów chińskich jeńców, obeznanych z papiernictwem, tajemnica produkcji papieru dotarła do Samarkandy. Stąd później rozprzestrzeniła się w krajach azjatyckich i następnie poprzez Afrykę dotarła do Europy. Pierwsze papiernie, zakładane przez Arabów, pojawiły się w połowie XII w. na terenie obecnej Hiszpanii i Włoch. W XV w. sztuka wytwarzania papieru znana już była w Anglii, Szwajcarii, Austrii, Czechach i w Polsce.

OD PAPIRUSU DO GAZETY

Pamiętamy, że zanim pojawił się papier ludzie używali do pisania tabliczek, liści palmowych, zwojów papirusu i pergaminu. W użytku była też kora drzew. Być może, jeszcze niektórzy z nas w dzieciństwie zdzierali delikatną, białą korę z brzóz, by próbować na niej pisać. Wcześniej w Indiach i Tybecie, a potem dość powszechnie w Rosji i Finlandii, kory brzozowej używano do sporządzania dokumentów, nazywanych gramotami. Wszystko jednak zmienił chiński wynalazca papieru.

Jak powstał pierwszy papier? Do jego produkcji niezbędne były (tak jak i dziś) duże ilości wody. Tsai Lun wykorzystał łyko, włókna konopne, odpady lniane i jedwabne do sporządzenia zawiesiny. Spilśnione włókna wyławiał z wody za pomocą sita wykonanego z tkaniny (stąd wzięła się nazwa papier czerpany). Tą właśnie metodą przez długi czas powszechnie wytwarzano papier różnych gatunków i jakości, od białego, przeznaczonego do pisania i druku, poprzez grubszy, stosowany do wyrobu okładek czy tapet, po szary – do pakowania. W zależności od czasów i miejsca lokalizacji papierni do przygotowania zawiesiny używano też: włókien papirusu, palm, lnu, konopi, słomy, miazgi drzewnej itp. Stosowano także różne kleje roślinne i zwierzęce, dodatki, pigmenty i wypełniacze mineralne, np. kredę.

W produkcji na większą skalę dość długo nie używano starych szmat i makulatury, choć papier z nich wy-

twarzany był wysokiej jakości – było ich niewiele, a przez to pozostawały zbyt drogie (notabene zbieraczy, zwanych nieco pogardliwie szmaciarzami, można było spotkać w polskich wsiach i miasteczkach jeszcze w latach 70. minionego wieku).

Prawdziwą rewolucją w papiernictwie okazało się użycie nowego surowca – drewna. Pomogła w tej przemianie wnikliwa obserwacja przyrody. Francuski uczony, René A. Ferchault de Réaumur (1683–1757), podglądając osy, zauważył, iż budują one gniazda z czegoś przypominającego papier. Po zbadaniu okazało się, że w skład tego budulca wchodzą, odpowiednio spreparowane przez owady, zdrewniałe części roślin i drewno. To odkrycie otworzyło drogę do prac nad technologią wykorzystania drewna do wyrobu papieru. Już w latach 80. XVIII w. w jednej z francuskich papierni zaczęto wytwarzać masę włóknistą pochodzącą z potraktowanego chemikaliami drewna topolowego. W 1867 r. na wystawie w Paryżu pokazano urządzenie do produkcji papieru maszynowego z celulozy. Od tego czasu jego produkcja mogła stać się masowa.

Zaczęto powszechnie stosować masę drzewną wyrabianą z drzew iglastych. To nie zmienia faktu, że do dziś wysokiej jakości papier dokumentowy lub papeteryjny nadal zawiera w sobie nieco masy ze szmat. Często klejony jest kazeiną pozyskiwaną z mleka. Z kolei, uszlachetniony chemicznie ścier drzewny wykorzystuje się na papier gazetowy, ze sporym udziałem ligniny, a luźno splecione włókna nadają miękkość serwetkom i rolkom papieru toaletowego.

Z TYCH WAŁKÓW
niebawem powstanie papier.

— Połowa drewna będącego w obrocie handlowym na całym świecie wykorzystywana jest do produkcji papieru. Statystyczny Polak zużywa rocznie około 100 kg papieru.—

LAS NIE UCIERPI

Papier stał się dobrem powszechnego użytku. Jednak wraz z masowym wykorzystywaniem drewna do jego produkcji i stale rosnącym popytem na ten towar zrodził się niepokój o lasy. Tymczasem prawda, dla niektórych może szokująca, jest taka, że oszczędzanie papieru nie ma większego znaczenia dla trwałości naszych lasów. Ma natomiast kapitalne znaczenie dla ochrony szeroko rozumianego środowiska naturalnego. W popularnej wyszukiwarce internetowej hasło „oszczędzaj papier” otwiera prawie pół

PAPIERÓWKOWE DREWNO *często przygotowuje się zimą.*

miliona wyników, co dobrze świadczy o ogromnym zainteresowaniu tematem. Słusznie, ale zasadniczym problemem jest tu wielkie zużycie wody i stosowanie w produkcji dużych ilości agresywnych środków chemicznych, a nie wycinanie drzew. Wprawdzie niektórzy wyliczają, że z jednego drzewa powstaje 8500 kartek papieru, a na produkcję tony papieru potrzeba poświęcić 17 drzew, jednak nie dodają, że są to drzewa, które i tak trzeba było wyciąć.

Pielęgnowanie lasu polega na nieustannych cięciach. Drewno przeznaczane na produkcję papieru, potocznie nazywane papierówką, pochodzi z cięć w młodych drzewostanach i jest najgorszej jakości. Przerzedzamy młodniki sosnowe, świerkowe, brzozowe czy olchowe, eliminując najsłabsze drzewa. Te najcieńsze rozdrabniane są na wióry i trafiają do firm produkujących np. płyty meblowe. Nieco grubsze, ale obarczone różnymi wadami technicznymi, kupowane są przez papiernie. W lasach często widzimy stosy – czasem nawet bardzo duże – papierówki. To drewno nie nadaje się do wykorzystania w meblarstwie czy budownictwie, ale można je spożytkować lepiej niż tylko na opał. Trafia ono zatem do zakładów papierniczych, w których jest rozdrabniane i w wyniku mechanicznej oraz chemicznej obróbki, z użyciem dużych ilości wody, przetwarzane na masę celulozową i ścier drzewny. Z tych dwóch surowców wytwarza się większość papieru na świecie. Potem drukuje się na nim choćby to czasopismo, które trzymacie w ręce (no, chyba że korzystacie z wersji elektronicznej).

Mało kto wie, że polski przemysł papierniczy jest największym odbiorcą i… wytwórcą energii odnawialnej w Europie. Ponad połowa produkcji energii w tej branży opiera się na biomasie. Jeżeli chcemy pomóc polskim lasom i przyrodzie, nie obrażajmy się na leśników za to, że wycinają drzewa. Nie zapominajmy za to o recyklingu – po przeczytaniu gazety, czasopisma albo po wyjęciu jakiegoś świeżego nabytku z papierowego lub tekturowego opakowania, odwiedźmy właściwy pojemnik na odpady. I pamiętajmy, że ulżymy środowisku, po prostu nie śmiecąc i nie wywożąc odpadów do lasu. ¶

PLUSK POŚRÓD LASÓW

NIE DO KOŃCA JEST TAK, ŻE KARP, JAKI JEST, KAŻDY WIDZI. BO WIDZIANY JEST RÓŻNIE. A TO DOWODZI, ŻE JEGO OBECNOŚĆ NA NASZYM WIGILIJNYM STOLE WCALE NIE MA WIELOWIEKOWEJ TRADYCJI, A WZIĘŁA SIĘ TYLKO Z PEERELOWSKIEJ BIEDY. A TO, ŻE NIE JEST SWOJAKIEM, A GATUNKIEM OBCYM, CHOĆ NA ZIEMIE POLSKIE TRAFIŁ WIEKI TEMU. ALE KTO SŁYSZAŁ O KARPIU Z LASU?

TEKST: **Krzysztof Fronczak** ZDJĘCIA: **Janusz Preuhs/archiwum GR Krogulna**

STAWY KSIĄŻĘCE
z lotu ptaka.

Swoją drogą, biorąc pod uwagę, że kiedyś lasy rosły na naszych ziemiach bez mała wszędzie, hodowla karpia, zapoczątkowana w XII w. w przyklasztornych stawach przez rzutkich cystersów przybyłych z Czech w dolinę Baryczy niedaleko Milicza, zapewne prowadzona była w puszczańskim otoczeniu. Podobne musiały być początki tej podjętej w XIII w. w Zatorze nad Skawą, w Kotlinie Oświęcimskiej. Potem zaroiły się od hodowlanych stawów feudalne wsie Śląska i zachodniej Małopolski.

W szczycie ekonomicznej potęgi Rzeczpospolita ustępowała w hodowli karpia już tylko Czechom. Kiedy kraj paliła pożoga wojen – upadała też akwakultura. Ale choć w wielu regionach kraju na Wigilię jadało się głównie bałtyckiego śledzia, a gdzie indziej szczupaka, karp – kojarzony raczej z kuchnią żydowską – nie był w menu naszych przodków rybą nieznaną. Zaś o jego dzisiejszej popularności niech świadczy to, że stanowi około połowy odławianych w naszym kraju ryb słodkowodnych.

RYTM WYZNACZA NATURA

Mało kto wie, ale w swej strukturze organizacyjnej Lasy Państwowe mają też gospodarstwa rybackie – jedno na terenie zarządzanym przez RDLP Zielona Góra (GR Żary, od 2009 r. działa w ramach Ośrodka Transportu Leśnego w Świebodzinie) i dwa w RDLP Katowice (GR Niemodlin i GR Krogulna). Zajrzyjmy do tego ostatniego, by zobaczyć, jak to jest z tym „karpiem z lasu".

Stawy Gospodarstwa Rybackiego Krogulna rozpościerają się na terenie pięciu opolskich nadleśnictw: Kup, Namysłów, Brzeg, Turawa i Strzelce Opolskie. To w sumie 54 zbiorniki, zasilane głównie ze zlewni rzek Stobrawy i Małej Panwi, okresowo – wiosennymi roztopami i, rzecz jasna, opadami. Razem prawie 600 ha lustra wody. Hoduje się tu głównie karpia, ale – dla wzbogacenia różnorodności przyrodniczej, zachowując odpowiednie proporcje – również suma i szczupaka, choć w ofercie handlowej znajdziemy także amura czy tołpygę.

Ludzki trud podporządkowany jest tu naturalnemu cyklowi hodowli. W największym skrócie wygląda to tak. Na początku, zwykle w połowie maja, gdy temperatura wody osiąga 18 st. C, w płytkich, obrośniętych trawą zbiornikach najdorodniejsi przedstawiciele karpiowego rodu mają się ku sobie. To tarło. Jego owocem są niezliczone kuleczki

CIĘŻKA CODZIENNA *praca. Jesień. Rybacy zaciągają siecią ryby do łowiska. Zawsze towarzyszą im w tym stada ptaków.*

ikry, przylepione do roślin znajdujących się pod wodą. Po kilku dniach wylęgają się małe, przezroczyste rybki (tzw. wylęg), miesiąc później wyglądające już jak miniaturki dorosłych ryb. To tak zwana lipcówka. Tę przenosi się do stawów, w których wczesną wiosną następnego roku będzie odławiany narybek (rybka o masie 3–10 dag). Powędruje on stąd do tzw. stawów kroczkowych (kroczek to karp w drugim roku życia, ważący już, dzięki dożywianiu, 15–25 dag). Dopiero w trzecim roku, dokarmiany od maja do września, karp uzyskuje największe przyrosty (nawet do 2 kg) i jesienią rybacy zaczynają żniwa – przenoszą ryby do tzw. magazynów rybackich, specjalnie przygotowanych akwenów, porośniętych trawą, stale zasilanych świeżą, bieżącą i dobrze napowietrzoną wodą. Tu przebywają one od października do grudnia, płucząc się i gubiąc zapach stawu.

Trzeba trzech lat hodowli, aby nasz karp stał się tzw. rybą handlową. W tym czasie jest nawet sześciokrotnie odławiany i ponownie wpuszczany do kolejnych stawów. Może liczyć wyłącznie na dokarmianie zbożem, a więc naturalnym białkiem – o resztę pożywienia i niezbędne do rozwoju mikroelementy musi postarać się sam.

OBROTY SFER EKONOMII

– W orbicie tego cyklu obraca się cała nasza ekonomia. I trzeba pamiętać, że jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Nie możemy na przykład liczyć na wsparcie z Funduszu Leśnego. Jesteśmy firmą dochodową – inaczej pewnie by już nas nie było – podkreśla Janusz Preuhs, dyrektor GR Krogulna, związany z tym miejscem od 1979 r. Choć nie jest stąd. Absolwent Wydziału Ochrony Wód i Rybactwa Śródlądowego Akademii Rolniczo-Technicznej (dziś Uniwersytet Warmińsko-Mazurski) w Olsztynie, pytany, dlaczego po studiach nie został na Mazurach czy na Wybrzeżu, gdzie przecież znalazłby pracę, odpowiada:

– To prawda, są tam jeziora, ale – może ze względu na skalę wyzwania – to nie dla mnie. Nie jestem wędkarzem, a hodowcą. Owszem, są pstrągarnie, ale nie ma tam codziennego, bezpośredniego kontaktu z otaczającą naturą, a bez tego nie potrafiłbym żyć. W Krogulnej mam to wszystko. Godzi się dodać, że piękno przyrody, jak mało kto, dyr. Janusz Preuhs potrafi uwiecznić na fotografiach.

Rybacy z Krogulnej nie ustawali w poszukiwaniu dodatkowych źródeł zasilania trudnego karpiowego biznesu.

– Za taką szansę uznaliśmy, pilotowany przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, a wspierany z Europejskiego Funduszu Rybackiego, Program Operacyjny „Zrównoważony rozwój sektora rybołówstwa i nadbrzeżnych obszarów rybackich". A więc, można by rzec, dla nas jak znalazł – opowiada Zbigniew Borek, zastępca dyrektora gospodarstwa.

Udało się. Z tego źródła GR Krogulna dostało zastrzyk finansowy na modernizację sprzętu i urządzeń technicznych, przebudowę placu do detalicznej sprzedaży

KARPIOWA „LIPCÓWKA"

STADO CZAPLI *białych nad stawami. Gatunek pod ochroną ścisłą.*

RYBACY ZAPRASZAJĄ, *gości nie brak.*

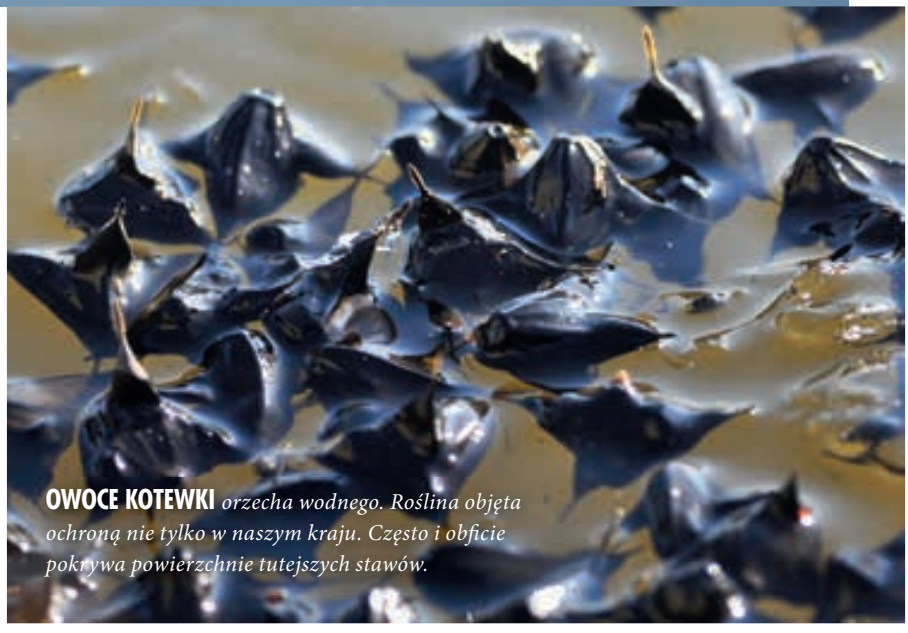

OWOCE KOTEWKI *orzecha wodnego. Roślina objęta ochroną nie tylko w naszym kraju. Często i obficie pokrywa powierzchnie tutejszych stawów.*

ryb oraz projekty wodno-środowiskowe. Ale coś za coś – jako beneficjent, zobligowane zostało do przestrzegania przez pięć lat „wymogów dotyczących środowiska wodnego, wykraczających poza podstawowe metody chowu i hodowli ryb w stawach karpiowych". W przełożeniu na mniej skomplikowany język – zobowiązało się do stosowania zasad dobrej praktyki rybackiej, ochrony i poprawy stanu środowiska naturalnego oraz różnorodności genetycznej (chodzi m.in. o uzupełniającą hodowlę innych rodzimych gatunków ryb). Rybacy zadeklarowali też, że, rozwijając karpiowy biznes, nie narażą na uszczerbek bogactwa krajobrazu i urządzą ścieżki edukacyjne. I słowa – a raczej umowy – dotrzymują co do joty.

NIE TYLKO RYBA

W Krogulnej co i rusz podkreśla się, że hodowla ryb to wprawdzie podstawa bytu firmy, ale nie od rzeczy jest spojrzeć dalej. Choćby z takiej perspektywy: krajowe stawy rybne mają łączną powierzchnię ok. 700 km kw. – to więcej niż powierzchnia wszystkich zbiorników zaporowych w Polsce (około 500 km kw.). W krajowych stawach da się zgromadzić 2,4 razy więcej wody niż wynoszą zasoby jeziora Śniardwy. Stawy są regulatorem lokalnych stosunków wodnych. Zapewniają też najefektywniejszą, zbliżoną do naturalnej, retencję – przechwytują wiosenne wezbrania (bo wtedy się je napełnia), a więc to narzędzie w walce z powodziami.

Stawy karpiowe generalnie oddają jakościowo lepszą wodę niż ta, którą pobierają. Z polskich czy niemieckich badań wynika, że są swego rodzaju bioreaktorami, redukującymi różnego rodzaju zanieczyszczenia, i to te „najtrudniejsze" do neutralizacji, pochodzące ze źródeł rozproszonych (np. upraw i obiektów rolnych). – Rozsądnie prowadzona hodowla ryb korzystnie wpływa na środowisko. Gdyby było inaczej, to czy zakładane przed wiekami przez cystersów wielkie kompleksy stawów w rodzaju milickich albo w La-

sach Rudzkich, współcześnie obejmowano by ochroną prawną, nawet rezerwatową? – retorycznie pyta Zbigniew Borek.

Podobnie jest tutaj. Książęce stawy pełnią rolę retencyjną, a wiosną – kiedy na Równinie Opolskiej rozległe podtopienia są na porządku dziennym – również przeciwpowodziową. Z kolei upalnym latem można pobierać wodę do gaszenia ognia w lesie. Moi rozmówcy zwracają też uwagę, że cała tutejsza działalność musi uwzględniać obowiązujące w LP zasady wielofunkcyjnej, zrównoważonej gospodarki leśnej, godzące wymogi rynku z ochroną środowiska przyrodniczego, a położone w zielonych ostępach stawy są ważnym elementem leśnych ekosystemów. Dba się o stan grobli – regularnie je wykasza, usuwając zbędne zarośla. Utwardza się drogi dojazdowe do rowów – też mogą się przydać w razie pożaru. Wykaszana jest zbyt ekspansywna roślinność wodna, prowadzone melioracje w stawach i na rowach itp.

Niezliczone wyspy i wysepki oraz porośnięte trzcinami brzegi stawów stwarzają znakomite warunki bytowania ptactwu wodno-błotnemu (i nie tylko takiemu), w tym licznym gatunkom chronionym. Bytują tu żuraw, bąk, gągoł, orlik krzykliwy, łabędź niemy, czapla biała, bocian czarny i biały, zimorodek czy perkoz, żeruje bielik. Są tu bobry, są też wydry, które notabene, pospołu z kormoranami, wyrządzają niemałe szkody w stawach. Zaglądają łosie.

Sąsiadujące z lasami stawy są naturalnym wodopojem dla dzikiej zwierzyny. Bujny świat roślin reprezentują grzybień biały czy grążel żółty, doskonale mają się te objęte ochroną ścisłą, m.in. salwinia pływająca, kotewka orzech wodny czy lindernia mułowa.

A już wartością samą w sobie jest niepowtarzalny widok stawów „zanurzonych" w lasach. W końcu nie bez przyczyny w 1999 r. utworzono na tych terenach pełen uroczych miejsc Stobrawski Park Krajobrazowy. ¶

SALWINIA PŁYWAJĄCA, *paproć wodna na stawie gospodarstwa w Krogulnej. Jedyna przedstawicielka tego gatunku występująca w Polsce, objęta ścisłą ochroną.*

STAWY KSIĘCIA PANA

Najstarsza wzmianka o wsi Krogulna pochodzi z 1309 r. Wiadomo, że w XVI w. były tu kopalnia rudy żelaza oraz piece, zwane dymarkami, do wytopu surówki, a nieco później uruchomiono też tzw. fryszernię, w której żelazo przerabiano na stal. O owej hutniczej przeszłości świadczą do dziś wydobywane z dna cieków wodnych i stawów kawałki tzw. niewytopów żelaznej rudy.
Powstanie licznych stawów rybnych w północnej części obecnego województwa opolskiego to zasługa księcia Carla Christiana Erdmanna von Württemberg-Oelsa (1716–1792). W 1748 r., w należącym do majątku Krogulna folwarku postanowił on założyć wielki zwierzyniec z myśliwską rezydencją. Były to zarazem początki osady Pokój (co za przewrotność, to tu mieści się dziś siedziba gminy, mającej Krogulną „pod sobą"). Już na krótko przed wojną siedmioletnią (1756–1763) – a przyniosła ona niebywałe spustoszenia i głód, ostatecznie oddając Śląsk pod pruskie panowanie – książę poszukiwał sposobu gospodarczego podźwignięcia tych włości. Wojenne zniszczenia tylko przyspieszyły jego decyzję, by na rozległych, podmokłych obszarach okolic Pokoju urządzić stawy do hodowli karpia. Zatrudnił poddanych do kopania rowów i sypania grobli. Dziś ekonomiści powiedzieliby: stworzył rynek pracy dzięki robotom publicznym. Z czasem Pokój urósł do rangi ośrodka kultury i modnego uzdrowiska, odwiedzanego nawet przez koronowane głowy. Po książęcych stawach pływały łódki z kuracjuszami, a na wyspach, w licznych pawilonach, toczyło się życie towarzyskie. Do ruiny doprowadziły Pokój wojska sowieckie na przełomie stycznia i lutego 1945 r., puszczając z dymem 80 proc. zabudowań i mordując mieszkańców. W 1958 r. ówczesny minister leśnictwa i przemysłu drzewnego utworzył na dawnym majątku stawowym Gospodarstwo Rybackie Krogulna, jako zakład Lasów Państwowych. Dziś to gospodarczo samodzielna jednostka organizacyjna w strukturze RDLP Katowice.

Carl C. Erdmann von Württemberg-Oels

Fot. Shutterstock /Strahil Dimitrov

ZIMA LEŚNYCH LUDZI

ZIMĘ 1961/1962 METEOROLODZY UZNALI ZA NAJCIĘŻSZĄ OD KILKUDZIESIĘCIU LAT. W WYSOKICH BIESZCZADACH W WIELU POŁOŻONYCH NA ODLUDZIU OSADACH SKOŃCZYŁA SIĘ ŻYWNOŚĆ I PRZYSZŁO ZJADAĆ NAWET OBIERKI Z ZIEMNIAKÓW, A DO TAK ZWANYCH WYGÓDEK PRZEDZIERANO SIĘ TUNELAMI WYDRĄŻONYMI W ZWAŁACH ŚNIEGU.

TEKST: **Krzysztof Potaczała**

BIAŁA KATASTROFA
w 1961 r. w Bieszczadach.

Fot. archiwum Krzysztofa Potaczały

Biało zrobiło się już w listopadzie. Nieprzerwanie sypało i kurzyło, a spychacze gąsienicowe nie nadążały odwalać śniegu. Wiatr i szadź zerwały łączność telefoniczną, w leśnych osadach potężne zaspy odcięły ludzi od świata.

W bazie Zarządu Budownictwa Leśnego w Smolniku nad Sanem stuosobowy barak zaczął trzeszczeć pod naporem śniegu. Robotnicy spali z jednym zamkniętym okiem, bo nikt nie był pewny, czy za chwilę na głowy nie runie cała nadwerężona konstrukcja. Codziennie wczesnym rankiem wspinali się na dach i zrzucali śnieg, by przed południem stwierdzić, że znowu zasłany jest grubą, ciężką pierzyną. Jej regularne zwalanie spowodowało, że po paru dniach długi na kilkadziesiąt metrów barak utonął w śnieżnej powodzi, a jedynym widomym znakiem, że tli się w nim życie był snujący się z kominów dym. Do składu z opałem i do studni dostawano się po specjalnych pomostach zbijanych z desek układanych na śniegu i każdego dnia podnoszonych wyżej. Tymczasem niebo bombardowało Bieszczady coraz to nową białą masą. W parterowym budynku o cienkich ścianach było przeraźliwie zimno. Sześcioosobowe kwatery ogrzewano tylko drewnem podkładanym w nędznych piecykach. Kiedy późną nocą ogień gasł, temperatura błyskawicznie spadała poniżej zera. W okiennych szparach gwizdał wiatr, śnieg wciskał się do środka, w wiadrach zamarzała woda do picia i mycia. Po dwóch tygodniach walki z żywiołem w pracowniczej stołówce zaczęło brakować żywności. W sklepiku zostało tylko to, czego nie dało się zjeść, a palacze papierosów z konieczności zbierali wyrzucone wcześniej pety, rozklejali je, przesypywali resztki tytoniu w skrawki „Trybuny Ludu" i robili skręty.

MORDERCZA PRZEPRAWA

Któregoś wieczoru zwołano zebranie, by przedyskutować, jak wyrwać się z tej pułapki. Ustalono, że cała ekipa wyruszy o brzasku w trzydziestokilometrowy marsz do Ustrzyk Dolnych. – Poleciłem dwóm operatorom, żeby za wszelką cenę uruchomili „stalińce" – wspomina Witold Augustyn, ówczesny szef bazy w Smolniku. – Spychacze stały po kominy zasypane śniegiem w znacznej odległości od baraku, dlatego musieliśmy najpierw wyżłobić ścieżkę. Czekaliśmy z niepokojem, czy mechanicy zdołają odpalić maszyny. Nigdy nie zapomnę tej niesamowitej ciszy, w której słychać było tylko wiatr. Aż wreszcie zaturkotała pierwsza maszyna, zaraz potem druga. W nocy udało się przetrzeć dojazd do głównej szosy, a świtem wyszliśmy w kierunku Lutowisk. Drogę torowały spychacze z przywiązanymi do nich linami, szuflami, łomami i innym prostym sprzętem, który w krytycznych sytuacjach, gdzieś w górach albo w lesie, wielokrotnie ratował ludziom życie. – Jechałem w pierwszej maszynie z operatorem Jankiem Słotą – opowiada Witold Augustyn. – Co jakiś czas musiałem wyłazić na maskę i oczyszczać nieustannie zasypywaną przednią szybę, by kierujący mógł widzieć słupy telefoniczne i przydrożne drzewa, będące jedynymi punktami wskazującymi tor jazdy. Za spychaczami ciągnął orszak okutanych w kożuchy i waciaki robotników, objuczonych tobołami, drepczących po śladach wygniecionych gąsienicami. Wyglądali jak sznur wygnańców, wiedzionych za karę do jakiegoś równie nieprzyjaznego i nieznanego miejsca. – Po pięciu godzinach męczarni dotarliśmy wreszcie do Lutowisk (siedem kilometrów!), lecz dopiero tu, na haliznach

Fot. archiwum Krzysztofa Potaczały

TAKIE OBRAZKI *były na porządku dziennym.*

u podnóża Otrytu, dostaliśmy się w iście syberyjską purgę – kręci głową pan Witold, jakby wciąż nie chcąc wierzyć w to, co wtedy przeżył. – Wichura zatykała dech w piersiach, a twarze trzeba było szczelnie zasłaniać przed siekącymi biczami zlodowaciałego śniegu. Ale i to nie był koniec udręki. Kiedy wydawało się, że najgorsze mają za sobą, w pewnym momencie na przesmyku wyrosła czterometrowa zaspa, niczym pomalowany na biało wysoki mur. Jak się przebić? Może wracać do Smolnika? Niepodobna… Więc po chwili mordowali się z tą śnieżną zaporą, a ona, niczym skała, nie chciała dać się skruszyć. Dotarcie do pobliskiego lasu na Otrycie zajęło kolejne dwie godziny, a do nieodległej Czarnej stu wyczerpanych ludzi dobrnęło dopiero po zmierzchu. Tu już zapachniało cywilizacją – szosa do Ustrzyk była jako tako odśnieżona.

WIEŚCI Z FRONTU

„Nowiny Rzeszowskie" z 15 lutego 1962 roku donosiły na pierwszej stronie: „Osady i bieszczadzkie trakty toną w śniegowych zaspach. Ustrzyki Górne odcięte są od świata, w Lutowiskach grubość śnieżnej pokrywy sięga trzech metrów. Mechaniczny pług, który 13 bm. starał się utorować drogę, ugrzązł w śniegu (…). Łączność z Bieszczadami kończy się właściwie w Lutowiskach (…). Najgorzej jest z dowozem żywności. W odciętym od świata schronisku w Ustrzykach Górnych przebywa 70 uczestników kursu narciarskiego. Pięciu z nich choruje, lekarze nie mogą się do nich dostać (…). Pechowym kursantom kończy się jedzenie, zabrakło również opału".

Dzień później korespondent tejże gazety pisał: „W Bieszczadach nadal szaleje zamieć. Widoczność minimalna. Komunikacja sparaliżowana. Drogi przetarte przez pług zasypywane są na nowo. W sklepach brakuje chleba. Do Ustrzyk Dolnych mieszkańcy Lutowisk starają się dotrzeć pieszo, by dokonać niezbędnych zakupów. Walkę z żywiołem utrudnia brak sprzętu. Trzy powiaty: Lesko, Sanok i Ustrzyki Dolne dysponują tylko jednym pługiem z dmuchawą. Kierowca tego pojazdu nie spał już trzy noce".

W drugiej połowie lutego regionalna prasa informowała, że kontaktu ze światem pozbawieni są robotnicy z kamieniołomu w Berehach Górnych, drwale kwaterujący w leśnych bazach w Pszczelinach, Terebowcu, Mucznem, Suchych Rzekach oraz mieszkańcy kilku innych wiosek położnych na południe od Lutowisk…

W końcu, po wielu dniach intensywnych opadów, pogoda na chwilę się poprawiła. Z całego województwa rzeszowskiego ściągnięto potężne pługi wirnikowe i odśnieżono drogi. Kiedy operator jednej z takich maszyn dotarł do Zatwarnicy, okazało się, że odcięci od świata tubylcy zjedli z głodu wszystkie obierki z ziemniaków. Wśród nich były też kilkuletnie dzieci miejscowych pracowników leśnych.

Głód zajrzał w oczy także leśnikom w Smereku, skąd po naradzie załogi zdecydowano wyruszyć gęsiego do Cisnej, ubezpieczając się powiązanym wokół pasa bieliźnianym sznurem. Wśród kilkudziesięciu piechurów dzielnie szły także kucharki z pracowniczej stołówki, w tym jedna w zaawansowanej ciąży. Po wyczerpującej, wielogodzinnej przeprawie wszyscy szczęśliwie dotarli na miejsce. – W Cisnej miejscowi patrzyli na nas jak na jakąś zagubioną ekspedycję – wspomina tamten pochód Antoni Krawczak, ówczesny kierowca ciężarowego ziła. – Byliśmy pokryci grubą warstwą zmrożonego śniegu, z nosów zwisały nam sople. Najgorzej wyglądali wąsaci i brodaci, którzy okutani w długie płaszcze, zupełnie nie przypominali ludzi, a jakieś nieziemskie, śnieżne stwory.

W Dźwiniaczu Górnym śniegi odcięły od cywilizacji grupkę drwali, rezydujących w budzie obitej cienkim drewnem i płytą pilśniową. Mieli wokół dość opału, żeby nie zamarznąć, ale brakło im żywności. Siedzieli przez trzy dni jedynie o herbacie, nie ryzykując próby przedarcia się do najbliższej wsi. Dopiero żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza zdołali do nich dotrzeć i ich ewakuować.

PRZYPADEK LUDWIKA PIŃCZUKA

Zimę stulecia przeżył samotnie w zasypanych Berehach Górnych Ludwik Pińczuk. Od paru lat wprawdzie mieszkał w schronisku na Połoninie Wetlińskiej, ale przypadek sprawił, że na pewien czas musiał zejść niżej. Jesienią w dolinie potoku Nasiczniańskiego leśnicy rozpoczęli budowę gajówki. Miał to być pierwszy nowy obiekt w opustoszałej od końca wojny wsi. Na takim odludziu nikt nie chciał pracować, toteż z trudem kierownikowi budowy udało się zakwaterować sześcioosobową brygadę.

Prace przy gajówce ślimaczyły się niemiłosiernie. Brakowało materiałów, zniechęcona ekipa czekała tylko, kiedy będzie mogła stąd uciec i w końcu jej się udało. Przed nastaniem zimy zdążono wymurować tylko piwnicę, ale i tak należało zatrudnić stróża, który przypilnowałby państwowego dobytku. Tylko kto się zgodzi przesiedzieć kilka miesięcy w miejscu, gdzie prędzej można spodziewać się spotkania z wilkiem niż z człowiekiem?

– Wpadłem na pomysł, żeby przekonać do stróżowania Lutka Pińczuka – mówi Wi-

told Augustyn. – Lubił wyzwania, ponadto mógł przez te kilka zimowych miesięcy trochę zarobić i przeczekać najtrudniejszy czas w znośniejszych warunkach niż na szczycie góry, gdzie za wiele opału nie miał, a w razie konieczności swoim jedynym koniem nie był w stanie za dużo wywlec na ponad tysiąc metrów wysokości.

Tak więc, kiedy bieszczadzki świat utonął w śniegu, Pińczuk zamelinował się w piwnicy gajówki i rozpoczął stróżowanie. Znośnie było jeszcze w połowie grudnia 1961 r., lecz potem zawiało wszystkie szlaki. – Nachodziły mnie złe myśli, miałem wyrzuty sumienia – nie ukrywa Augustyn. – Jeśli ja z załogą w Smolniku zostaliśmy uwięzieni i długo nie mogliśmy się wydostać, to co dopiero skazany jedynie na siebie Ludwik?

— W latach 60. ub.w. srogie zimy parokrotnie paraliżowały życie w górskich osadach. —

Bałem się, że umarł z głodu albo zamarzł przy próbie wydostania się ze śnieżnej matni, a jego zakonserwowane przez mróz ciało odnajdę dopiero wiosną. Już go prawie pożegnałem, aż tu nagle któregoś dnia zapukał do drzwi mojego biura…

Kiedy odsapnął, opowiedział, jak poradził sobie w Berehach. Początkowo zamierzał zamieszkać w opuszczonym przez robotników baraczku, ale, wiedziony instynktem, wybrał piwnicę gajówki, gdzie urządził sobie legowisko i palenisko. Zgromadził tyle drewna, ile się dało, ze schroniska na Wetlińskiej zniósł zapas ziemniaków, mąki i kaszy. Miał też parę konserw, herbatę i kawę zbożową. Lutek był człowiekiem cierpliwym i wytrzymałym, ale kiedy po jakimś czasie śnieg coraz bardziej zasypywał gajówkę, a zapasy żywności niebezpiecznie się skurczyły, postanowił za wszelką cenę sam wydostać się z Berehów. Układając deski na śniegu doczołgał się tym sposobem do najbliższej leszczyny i wyciął kilka kijów. Potem te kije zaparzył we wrzątku i wygiął, by zrobić szkielet do rakiet śnieżnych. Taką konstrukcję obciągnął płótnem z własnego prześcieradła, a następnie powiązał znalezionym na budowie drutem zbrojeniowym. Bez tych prymitywnych rakiet nie zdołałby brnąć przez głębokie zaspy.

Świtem wyruszył w stronę Nasicznego. Dotarł tam po zmroku, zanocował u gospodarza i nazajutrz, już nieco przetartym szlakiem przedostał się do Smolnika. Z nakazu szefa miał przeczekać najgorszy zimowy czas w smolnickim hotelu robotniczym. Przygotowano mu kwaterę, wypisano bloczek na obiady, ale rankiem wziął swój plecak i na powrót pomaszerował przez białą pustynię do Berehów. Przesiedział tam aż do pierwszych roztopów.

– Sam dzisiaj nie mam pojęcia, jak przetrwałem, ale na pewno siłą woli – mówi z uśmiechem.

BIESZCZADY SĄ TRUDNE

Zimą 1961 i 1962 roku wszystkie zakładane i rozpisane plany waliły się w zderzeniu z białym żywiołem. To wtedy, pamiętają pionierzy, poznawało się charakter człowieka. Bieszczady przyciągały niezłymi zarobkami, ale miały wymagania. Nie było sztuką pracować latem, ale wtedy, gdy stawał tabor kołowy, pustoszały spiżarnie, zaczynało brakować opału i należało sunąć w śniegu po pas, żeby nanieść gałęzi z lasu. – Słabi od razu odpadali – zaznacza Fryderyk Brózda z dawnego Zarządu Budownictwa Leśnego. – Niektórzy nawet nie rozliczali się z pobranych narzędzi i ubrań, tylko przy najbliższej okazji brali nogi za pas. Ale nie brakowało też takich, którzy za punkt honoru postawili sobie pracę w tych surowych warunkach. Przy wycince i zrywce drzew, przy budowie dróg i budynków, w kamieniołomach.

Józef Ruszelak, kierownik budowy wielu dróg leśnych pod wywóz drewna, wspomina: – Zima najbardziej przerażała tych z centralnej Polski, zwabionych obietnicą „tłustych" zarobków. Przyjeżdżali całymi grupami i całymi grupami uciekali. Co innego ci z okręgów brzozowskiego, przemyskiego, rzeszowskiego. Im naprawdę zależało na tej robocie. Byli gotowi na najbardziej dokuczliwe mrozy, na największy śnieg, ale nie zawsze przy takiej pogodzie dało się cokolwiek robić. Jak choćby w końcówce grudnia 1961 r., kiedy w ciągu jednej nocy nagle spadło prawie pół metra świeżego puchu. A że już wcześniej leżało go po kolana, zostaliśmy uziemieni. Przerwano wszelkie prace, w kilkanaście godzin stanęła cała komunikacja od Ustrzyk po głębokie Bieszczady. Nie chcieliśmy Nowego Roku przesiedzieć w baraku, zdecydowaliśmy się pieszo przedrzeć z Dwernika przynajmniej do Lutowisk, a potem szukać sposobu na dalszą drogę. Pokonanie czterech kilometrów zajęło nam pół dnia. Woleliśmy wrócić po śladach, niż pchać się dalej…

Dziś tamte mrozy i śniegi dawni drwale, kierowcy i robotnicy wspominają już tylko z uśmiechem. ¶

ODCIĘTA OD ŚWIATA
baza w Smolniku nad Sanem.

Fot: archiwum Krzysztofa Potaczały

TAŃCZĄCY Z DRZEWAMI

O CZYM ŚNI LEŚNIK? MOŻE O DRZEWACH? A LEŚNIK ARBORYSTA? O WSPINACZCE PO TYCH NAJPIĘKNIEJSZYCH I NAJWIĘKSZYCH.

TEKST: **Agnieszka Sijka** ZDJĘCIA: **archiwum Grzegorza Całki**

Grzegorz Całka marzy o spacerze w chmurach w Parku Narodowym Sekwoi w Kalifornii. To właśnie tam rosną jedne z najwyższych drzew na świecie. Wyprawa w górę po ponad 100-metrowym olbrzymie może rozpalić wyobraźnię każdego, a co dopiero leśnika arborysty…

NAUKA ZA WIELKĄ WODĄ

Arborystą został za sprawą niepokojących wieści docierających z rynku pracy. Pod koniec studiów na Wydziale Leśnym w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego wiadomo już było, że z zatrudnieniem dla absolwentów jego wydziału będzie gorzej niż krucho. – To zmusiło mnie do „wymyślenia sobie" innego zajęcia – mówi Grzegorz. – Sytuacja była na tyle niepewna, że coraz więcej osób z mojego roku brało „dziekankę" i jechało szukać szczęścia za granicę.

Wtedy, kilkanaście lat temu, głównym kierunkiem wyjazdów były Szkocja oraz Skandynawia. Wyruszył więc utartym szlakiem. Ale po krótkim pobycie w Szkocji skierował oczy na Stany Zjednoczone. Dzięki koledze z wydziału znalazł tam pracę w firmie zajmującej się właśnie arborystyką. Szlify w nowym zawodzie zdobywał w Cincinnati, jednym z najzieleńszych i najbardziej zalesionych miast w USA. To było spełnienie dziecięcych marzeń – wspinał się na najwyższe drzewa. I jeszcze miał z tego pieniądze na życie.

– W Stanach Zjednoczonych drzewa podnoszą wartość działek, dlatego dbanie o nie jest uważane za inwestycję, która zwróci się w przyszłości – mówi Grzegorz.

Nic więc dziwnego, że to właśnie USA są kolebką arborystyki. Za ojca tej dyscypliny uważany jest nieżyjący już Alex Shigo, biolog i fitopatolog, który w swoich licznych pracach opisywał nie tylko choroby drzew, ale również metody radzenia sobie z nimi, sposoby leczenia i pielęgnacji. Także tam zaczęto organizować zawody i sympozja, pojawiła się branżowa prasa, powstały podwaliny całej branży.

– O arborystach mówi się, że są chirurgami drzew bądź pilarzami pracującymi na wysokości, którzy znają je i rozumieją, nie szczędzą im serca. Nie tylko przycinamy drzewa – zakładamy także systemy stabilizacji koron i zabezpieczenia przed szkodami powodowanymi przez wiatr i śnieg. Równie często jak wysoko w koronach pracuje się także na ziemi, instalując np. zabezpieczenia chroniące systemy korzeniowe drzew rosnących w pobliżu placów budowy – wyjaśnia leśnik.

Arborystom zleca się też nierzadko rozpinanie girland lampek na rozłożystych drzewach. W takiej okolicy wieczorny spacer wśród pięknie skrzących się światłem koron przypomina romantyczną przechadzkę uliczkami pełnej uroku starówki.

JAK NIETOPERZ

Za Wielką Wodą nasz bohater nie od razu dostał możliwość pracy na wysokościach. Najpierw był tzw. dołowym, czyli pomagał i asekurował ekipy pracujące wśród koron drzew.

Dopiero po jakimś czasie zaczęło się oswajanie z wysokością. – Musiałem wdrapać się na 30-metrowe drzewo. Początkowo dominującym doznaniem jest lęk, dopiero po chwili człowiek, zaciekawiony, zaczyna rozglądać się po okolicy. Potem jest nieprawdopodobne poczucie wolności, zachwyt tym, co zewsząd otacza – to naprawdę trudno opisać słowami.

Kolejnym etapem wtajemniczenia była nauka zwisania głową w dół, nie przymierzając, jak nietoperz.

– Zdarza się, że pracując na wysokości, trzeba się solidnie wychylić, aby przyciąć gałąź bądź sięgnąć po jakieś narzędzia. Wtedy często niemal wisisz do góry nogami. Musisz nauczyć się samokontroli, zaufać samemu sobie i sprzętowi – wyjaśnia.

Pierwsza próba zawiśnięcia głową w dół nie była szczególnie udana. Dopiero po kolejnym wejściu Grzegorz poczuł się na tyle pewnie, że zdecydował się na to „szaleństwo".

Za oceanem miał okazję uczyć się od najlepszych. Wśród jego „profesorów" był m.in. wielokrotny mistrz stanu Ohio w arborystyce. A i firma, w której pracował także nie była byle jaka – należała do najbardziej doświadczonych, najdłużej działających i największych na amerykańskim rynku.

Po kilkunastu miesiącach spędzonych w Stanach Zjednoczonych Grzegorz zdecydował się jednak wrócić do ojczystych krajobrazów. Chciał ukończyć studia i obronić pracę magisterską. Poza tym, nie ukrywa, tęsknił za Polską i rodziną.

– Nauczyłem się na pamięć polskich piosenek, czytałem polskie książki, śledziłem wieści z kraju. I cierpiałem na typową chorobę emigracyjną – wspomina.

Po powrocie zabrał się za sfinalizowanie zamierzeń naukowych. A przy okazji jeszcze raz okazało się, że wspinaczka po drzewach jest doskonałym lekarstwem na rozliczne rozterki i bolączki. Między pisaniem kolejnych rozdziałów pracy magisterskiej wyruszał więc na podniebne „spacery" w koronach drzew. Wprawdzie pod ręką miał jedynie Las Kabacki, ale nawet tutaj znajdował wytchnienie i energię do dalszej pracy.

PROBLEMY ZOSTAJĄ NA DOLE

– Taka wspinaczka potrafi naładować akumulatory. Kiedy wchodzisz na drzewo, wszystkie twoje problemy zostają na dole. Teraz najważniejsze staje się wejść na następną gałąź, a potem wdrapać się jeszcze wyżej i wyżej – mówi.

Mając już dyplom magistra w kieszeni, Grzegorz zdecydował się pozostać w kraju i tu szukać miejsca dla siebie. Tym bardziej że pojawiły się oferty pracy dla absolwentów leśnictwa. Mimo że pochodzi z Opolszczyzny, zdecydował się na staż i pracę w Nadleśnictwie Korpele, niedaleko Olsztyna. Od kilku lat jest tu podleśniczym w Leśnictwie Dębówka.

Pracę wciąż łączy z arborystyką. Nadal wspina się na drzewa i zajmuje się „chirurgią" drzew. – Jednak z czasem w mojej arborystycznej pasji zaczęło dominować hobby – przyjemność wejścia na drzewo stała się ważniejsza niż możliwe do zdobycia pieniądze – mówi.

Dlatego nie każde zlecenie przyjmuje – nie godzi się np. na ogławianie drzew, czyli prace mogące prowadzić do usunięcia nawet trzeciej części gałęzi tworzących koronę (notabene zabiegi takie zostały również zakazane w ustawie o ochronie przyrody).

Został też arbitrem w zawodach wspinaczki drzewnej. W tym roku Federacja Arborystów Polskich już po raz piąty zorganizowała takie mistrzostwa. Co roku około trzydziestu zawodników walczy o mistrzowski tytuł w pięciu konkurencjach. Grzegorz Całka sędziuje w kategorii ratownictwa.

Wiedzą i fachowym wsparciem służy w sezonie zbioru szyszek, chętnie demonstrując sprawną i bezpieczną wspinaczkę na sosny. Chociaż, jak przyznaje, żałuje, że w Polsce jest zazwyczaj do pokonania „tylko" 30 metrów wysokości.

TURYSTA NA LINACH

Tuż obok leśniczówki, w której obecnie mieszka z rodziną, rosną okazałe drzewa. Na jednym z nich wyznaczył trasę dla dzieci. Początkowo do wysokości około pięciu metrów, obecnie „stopnie" sięgają już dwa metry wyżej. Swoich sił próbuje na niej syn, któremu rok temu tata kupił uprząż. Ale w ślad za starszym bratem śmiało podąża również pięcioletnia Kasia. – Zainteresowanie i radość dzieci dowodzi, że dla każdego, bez względu na wiek, to naprawdę fajna sprawa – mówi.

Zauważa od razu, że w USA wspinaczka na drzewa nie jest traktowana wyłącznie jako zabawa dla „wiecznych chłopców" lub praca zarobkowa dla specjalistów. Stała się już liczącą się gałęzią turystyki, która zdążyła obrosnąć firmami specjalizującymi się w produkcji, sprzedaży i wynajmie sprzętu – uprzęży, lin, zabezpieczeń itp. dla fanów tego rodzaju rekreacji.

Wspinaczka na drzewa z wykorzystaniem technik zapożyczonych z alpinizmu – rzecz jasna, przy pełnym poszanowaniu przyrody – zdobywa coraz większą popularność. Dziś w kalifornijskim Parku Narodowym Sekwoi można zmierzyć się z ponad 100-metrowymi gigantycznymi mamutowcami i sekwojami, gdzie indziej można też znaleźć bardziej przystępne obiekty – mówi Grzegorz Całka. I dodaje, że jego marzeniem jest teraz zaszczepienie idei arborturyzmu także w Polsce.

Uważam, że ta pasja wydobywa z człowieka to, co najlepsze. Wspinając się po drzewach, w zamian otrzymuję coś od nich. Staję się ich gościem, wzbogacają mnie swoją przestrzenią, spokojem i harmonią. Pod jednym jednak warunkiem będziemy przyjęci w tę gościnę – mówi leśnik arborysta z Dębówki. I cytuje słowa Bernda Strassera, mistrza świata w sportowej wspinaczce drzewnej, który mawia, że zamiast walczyć z drzewem, należy z nim tańczyć. ¶

EKO-NIBYLANDIA

W TLE DYSKUSJI NA TEMAT PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ, W KTÓREJ KORNIK DRUKARZ ZDĄŻYŁ JUŻ ZABIĆ PONAD MILION ŚWIERKÓW, CZĘSTO POJAWIA SIĘ INNY SŁYNNY EUROPEJSKI CUD PRZYRODY: LAS BAWARSKI I SZUMAWA. AKTYWIŚCI EKOLOGICZNI TWIERDZĄ, ŻE TO, CO SIĘ DZIŚ DZIEJE W TYM LEŻĄCYM NA POGRANICZU NIEMIEC I CZECH OSTATKU NIEGDYSIEJSZYCH DORODNYCH BORÓW JEDNOZNACZNIE DOWODZI, IŻ POZOSTAWIENIE LASU SAMEMU SOBIE JEST NAJLEPSZYM Z MOŻLIWYCH ROZWIĄZAŃ. CZY JEDNAK?

TEKST: **Urszula Kifer** ZDJĘCIA: **Maciej Chromy**

LAS BAWARSKI.
Park narodowy powstał dopiero w 1970 r.

Kto zechce odwiedzić tamten region, może przekonać się, że sytuacja jest nieco inna, niż się wielu wydaje. Na początek jednak przedstawmy naszych aktorów. Powstały w 1991 r. Park Narodowy Szumawa obejmuje powierzchnię 68 tys. ha. Prawie trzy razy mniejszy (24 tys. ha) jest sąsiadujący z nim przez granicę Park Narodowy Las Bawarski, powołany do życia w 1970 r. (notabene jako pierwszy park narodowy utworzony w Niemczech).

CECHY SZCZEGÓLNE

Po pierwsze, nie wolno zapominać, że Szumawa i Las Bawarski tylko w niewielkim stopniu są lasami naturalnymi.

– Kiedy w 1970 r. tworzono nasz park, był to praktycznie zwykły las gospodarczy, który dopiero miał być przywracany naturze – przyznaje Johann Kiener, kierownik departamentu turystyki i udostępniania Parku Narodowego Las Bawarski.

Tamtejsze okolice przez wieki słynęły z hut szkła, których piece pochłaniały olbrzymie ilości drewna. Przemysłową przeszłość tego regionu zdradzają choćby historyczne nazwy miejscowości, jej świadectwem są także pełne uroku, zabytkowe fabryczki. Szumawskie drewno spławiano także do Wiednia i Wełtawy zbudowanym w XVIII w. Kanałem Schwarzenberskim, dziś będącym sporą atrakcją turystyczną.

Zestawianie – co niekiedy czynią ekoaktywiści – naszej Puszczy Białowieskiej, lasu wybitnie nizinnego, z położonymi zdecydowanie bardziej na południu kontynentu lasami górskimi przypomina nieco porównywanie warunków panujących w Bałtyku i w Morzu Śródziemnym. To dwie zupełnie różne, choć pod wieloma względami piękne, bajki. Większość powierzchni Lasu Bawarskiego i Szumawy zajmują górskie bory świerkowe i bory mieszane, w których oprócz świerka jest sporo buka i jodły. To o wiele uboższe siedliska od białowieskich lasów grądowych.

Skąd zatem w ogóle bierze się ten temat w kontekście gorączki polskich dyskusji?

Zapewne stąd, że te czesko-bawarskie lasy od wielu lat zmagają się z wielką klęską kornika, której dwie ostatnie, dramatyczne odsłony, pospołu z niszczycielskim wpływem huraganowych wiatrów, pozostawiły po sobie miliony martwych drzew. Tak wcześniej malowniczy krajobraz tamtejszego pogranicza zmienił się nie do poznania.

Władze parków narodowych, zarządzające tymi terenami, podjęły decyzję o pozostawieniu części zniszczonych obszarów samym sobie – tak zwana strefa bez interwencji zajmuje obecnie aż 67 proc. Lasu Bawarskiego i 13 proc. Szumawy. Po 10 latach od ostatnich dużych zniszczeń w wielu miejscach widać naturalnie odnawiający się młody las. Ale ani w części czeskiej, ani niemieckiej (a rozwiązania zastosowane w tej drugiej tak chętnie stawiane są przez wielu aktywistów za wzór do naśladowania w naszej białowieskiej puszczy) nie mamy wcale do czynienia z oddaniem całego obszaru, bez reszty, dzikiej naturze czy wyłączeniem lasu z wszelkiej ingerencji człowieka.

TAK DZIŚ
w wielu miejscach wygląda Las Bawarski...

CIĄĆ? OCZYWIŚCIE!

W obu parkach w wielu miejscach prowadzone są różne działania typowej, nowoczesnej gospodarki leśnej: aktywnie walczy się z kornikiem, wycina część zdrowych drzew i sadzi nowe, tak aby wspierać pożądane na tym terenie zmiany w składzie gatunkowym lasu.

– Dużą część naszego budżetu stanowią wpływy uzyskane ze sprzedaży drewna – nie ukrywa Martin Stary, zastępca dyrektora Parku Narodowego Szumawa, zarazem kierownik tamtejszego departamentu ochrony przyrody.

To prawda, Niemcy i Czesi planują stopniowe obejmowanie ścisłą ochroną kolejnych fragmentów lasu, ale wiedzą, że najpierw trzeba je do tego odpowiednio przygotować, zgodnie z zasadami sztuki leśnej.

Są też miejsca, w których do końca prowadzona będzie aktywna walka z kornikiem: to tak zwane strefy buforowe na granicy Lasu Bawarskiego. Mają one chronić sąsiednie lasy państwowe i prywatne, których zarządcy boją się inwazji owadów migrujących z sąsiedniego parku narodowego. Obowiązkiem „parkowców" jest temu zapobiec, więc stale monitorują, co dzieje się w tej strefie i wycinają każde nowe drzewo zasiedlone przez kornika. Robią to, bo są pewni skuteczności takich działań.

– Nasze badania potwierdziły, że wystarczy strefa o szerokości 500–800 m, aby zatrzymać tego owada. Przeprowadziliśmy nawet eksperyment, w którym za pomocą specjalnego urządzenia pomiarowego sprawdzaliśmy, jaki dystans potrafi on pokonać. Znakomita większość badanych chrząszczy nie była w stanie przelecieć więcej niż kilkaset metrów – tłumaczy dr Marco Heurich, zastępca kierownika departamentu ochrony przyrody i badań naukowych Parku Narodowego Las Bawarski. Węższą, 200-metrową strefę buforową wyznaczono tylko przy granicy z obszarami niemieckich lasów państwowych – one także prowadzą aktywną walkę z kornikiem.

Kolejna rzecz oczywista dla czeskich i niemieckich leśników to konieczność usuwania martwych drzew przy drogach i szlakach turystycznych.

– Wzdłuż dróg publicznych musimy wycinać martwe drzewa, stojące w odległości do 30 m. Wzdłuż szlaków na terenach chro-

...a tak Szumawa.

W CZĘŚCI
parku Las Bawarski wciąż prowadzi się prace leśne.

nionych interweniujemy tylko w najbardziej niebezpiecznych przypadkach – na przykład gdy drzewo jest złamane, z całą pewnością wkrótce runie i może komuś zrobić krzywdę. Staramy się wtedy wybrać rozwiązanie najbliższe naturze: łamiemy je na wysokości kilku metrów albo obalamy. Ale to bardzo kosztowne metody – opisuje Johann Kiener, odpowiedzialny za turystykę w Lesie Bawarskim. – Od początku, jak tylko zaczęło się zamieranie drzew, my również usuwamy te stojące przy szlakach, zagrażające bezpieczeństwu turystów – wtóruje mu Martin Stary z Szumawy.

JELENIOM JUŻ DZIĘKUJEMY!

Ci, którzy stawiają postępowanie władz Lasu Bawarskiego za wzór dla białowieskich leśników, pomijają też zazwyczaj jedną, dość istotną kwestię, a mianowicie różnicę w filozofii przyświecającej tamtejszej praktyce leśnej.

W Niemczech w latach 70. ub.w. uznano, że priorytetem dla zarządzających danym terenem leśnym musi być dobro drzewostanu, a nie bytującej na nim zwierzyny, mogącej temu dobru zagrażać. Wbrew wizjom snutym czasem przez aktywistów ekologicznych, przyroda to nie jest bowiem sielankowa harmonia, tylko rywalizacja między gatunkami – także między walczącymi o przeżycie młodymi drzewami a zjadającymi je zwierzętami, takimi jak sarny, jelenie czy łosie.

Polscy leśnicy stosują rozmaite metody ochrony lasu, zwłaszcza w początkowych stadiach jego rozwoju: grodzą szczególnie „wrażliwe" fragmenty, używają specjalnych środków odstraszających roślinożerców itp.

Tymczasem w Lesie Bawarskim nie hołduje się takim metodom. Po pierwsze, uważa się je za ingerencję w przyrodę. Po drugie, jak przyznają pracownicy parku, dla bawarskiego podatnika byłoby to po prostu zbyt kosztowne. A to już oznacza złe wieści, zwłaszcza dla jeleni, których zasada nieingerencji wyraźnie nie obowiązuje. Aby minimalizować powodowane przez nie szkody, niemieccy leśnicy utrzymują ich liczebność na dostatecznie niskim poziomie. Robią to w sposób, który doprawdy trudno byłoby wyobrazić sobie w Polsce.

– Kiedy późną jesienią zwierzęta te w poszukiwaniu pokarmu zaczynają schodzić z wyższych partii gór, gromadzimy je w czterech zamkniętych zagrodach, w których okresowo są dokarmiane. Tam

Z PARKU NARODOWEGO SZUMAWA
wyjechało w ub.r. 140 tys. m sześc. drewna.

TO TEŻ
jest Szumawa.

uprawnieni pracownicy parku dokonują selekcji i eliminują młode osobniki, regulując populację – opowiada Franz Baierl, kierownik departamentu gospodarki leśnej w Parku Narodowym Las Bawarski, oprowadzając nas po jednej z takich zagród, opasanej wysoką na kilka metrów siatką. W rezultacie w całej bawarskiej części kompleksu leśnego znajduje się miejsce dla zaledwie ok. 400 jeleni.

Eliminuje się także część dzików, sarnę natomiast pozostawiono wprowadzonemu do parku rysiowi. To dzięki takiemu podejściu możliwe jest piękne naturalne odnawianie się lasu – świerków, buków czy nawet jarzębiny. Wróćmy teraz na chwilę do Puszczy Białowieskiej, w której oprócz 2,5 tys. jeleni i 1,2 tys. saren żyją także łosie oraz powiększające się wolne stado żubrów. W ubiegłym roku zwierzyna poważnie uszkodziła w niej prawie 450 hektarów lasu.

— Leśnicy mają co robić w zamarłych świerczynach czesko-bawarskiego pogranicza.—

TO NIE JEST KRAJ DLA NIEDŹWIEDZI

A jak wygląda sytuacja dużych drapieżników? Obecnie w Lesie Bawarskim na stałe żyje jedynie ryś, którego populacja jakiś czas temu została tam sztucznie odtworzona. Pojedyncze wilki pojawiają się sporadycznie, czemu trudno się dziwić, biorąc pod uwagę małą liczbę jeleni w parku.

Najbardziej symboliczna jest jednak historia pewnego niedźwiedzia, który przed sześciu laty zabłąkał się w tamtą okolicę. – To był pierwszy taki przypadek w Bawarii od dwustu lat. Nazwaliśmy go „problematycznym niedźwiedziem", bo zaczął zabijać owce i kozy, podchodzić do domostw. Po paru tygodniach zapadła oficjalna decyzja o jego odstrzale – wspomina Franz Baierl.

Jak widać, dla niemieckich leśników zwierzęta w lesie to zatem przede wszystkim kłopot. Na naszą propozycję przekazania im kilku polskich żubrów z hodowli roześmiali się tylko: – Nie, dziękujemy. Szkód by w naszym w lesie narobiły! ¶

– TAK TO WIDZĘ –

Fot. archiwum

KONSEKWENCJE I NIEKONSEKWENCJE

W dyskusjach nad formami ochrony przyrody oraz gospodarowania jej zasobami często dochodzi do nadużywania pojęcia naturalności, a także do instrumentalnego traktowania owego pojęcia – w zależności od tego, czy pasuje ono do danej tezy czy nie.

Jak ktoś niedawno słusznie zauważył, z narracji miłośników przyrody wynika, że większość problemów bierze się z ludzkiej gospodarki. Globalne ocieplenie, obniżenie wód gruntowych, stepowienie krajobrazu – to wszystko jest domniemaną winą człowieka i należy to naprawić, podejmując aktywne działania. Poza jednym wyjątkiem: gradacja kornika drukarza jest zjawiskiem całkowicie naturalnym i przeciwdziałanie jej bezwzględnie trzeba zostawić siłom Matki Natury.

„Pozostawić swojemu biegowi i patrzeć, co będzie się działo" to kusząca propozycja. Nie ma jednak tak dobrze. Odkąd, jako ludzkość, zaczęliśmy na poważnie przekształcać środowisko, ciąży na nas odpowiedzialność za jego stan. I nawet wielkie rezerwaty przyrody nie są osobnymi planetami, tylko sąsiadują z otoczeniem, w którym żyją i pracują ludzie. Nie mówiąc już o tym, że niektórzy życzą sobie dostępu do owych cudów dzikiej przyrody i nie ma żadnej racji w tym, aby im tego dostępu zabraniać. Na takim właśnie gruncie nieraz zachodzi konieczność podejmowania trudnych decyzji o całkiem określonych konsekwencjach.

Jak różne dylematy niesie ze sobą gospodarka na styku „dzika przyroda i człowiek", można przeczytać w poprzedzającym moje słowa reportażu z Lasu Bawarskiego i Szumawy. Opisane w nim, bezceremonialne podejście do populacji dzikich zwierząt wydaje się polskiemu czytelnikowi bardzo radykalne i bezwzględne. W rzeczywistości jest wyrazem chłodnego pragmatyzmu naszych sąsiadów, którzy – zmuszeni do wyboru między obfitością zwierzyny a efektywnym odnowieniem lasu – jednoznacznie stawiają na to drugie. U nas taka opcja przez wielu uważana jest za skrajną. Gdy swego czasu zabrano się za redukcję liczebności ssaków kopytnych w Bieszczadach, musiano się z tej akcji wycofać, gdyż prasa pełna była pisanych wielką czcionką tytułów, krzyczących, że górskie potoki spłynęły krwią niewinnych zwierząt.

Oczywiście, można do pewnego stopnia godzić jedno i drugie, stosując powierzchniowe i indywidualne grodzenia, dzięki czemu młode drzewka będą miały szansę „uciec spod pyska" roślinożerców. Tyle, że ktoś w końcu może zapytać, ile to kosztuje, a ktoś inny pozwoli sobie słusznie zwrócić uwagę, że ozdabianie lasu plastikowymi osłonkami i grodzenie go siatkami też jest przecież nieekologiczne.

Reasumując, podejmowanie decyzji uwzględniających wszystkie racje wyższe (bezpieczeństwo ekologiczne czy stan i zachowanie zasobów przyrodniczych), jak również interesy różnych grup społecznych, wymaga cierpliwego dialogu i kompromisów. Nie jest to rzeczą prostą, ale gdy u zarania dziejów otrzymaliśmy polecenie „czyńcie sobie Ziemię poddaną", nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

– ZACHEUSZ

BYŁY KOPALNIE, JEST POJEZIERZE

KOLOROWE JEZIORA, KTÓRE ZA SPRAWĄ LUDZKIEJ DZIAŁALNOŚCI POWSTAŁY NA ŁUKU MUŻAKOWA, TO PRZYRODNICZY EWENEMENT. KIEDY KUCNĄŁEM NAD BRZEGIEM JEDNEGO Z NICH, ZMYSŁY ZWARIOWAŁY.

TEKST: **Adam Robiński** ZDJĘCIA: **Darek Golik**

CZĘŚĆ JEZIOR *powstała w wyniku zapełniania odkrywki wodą, inne – zwykle mniejsze – po zapadnięciu się szybów kopalnianych.*

KOLOR WODY *zbiorników zależy głównie od tego, co w danym miejscu wydobywano oraz stadium procesów chemicznych, które w niej zachodzą.*

Oczy, które widziały jak wczesnojesienne słońce muska taflę turkusowej wody, mówiły jednak zupełnie coś innego niż język. Bo ta sama woda, o barwie rodem z folderu pełnego wycieczek do śródziemnomorskich kurortów, smakowała jak… herbata gotowana na mocno schodzonym sandale. Szybko ją wypłułem, a towarzyszący mi fotograf tylko się zaśmiał. Staliśmy na stromym, piaszczystym zboczu, nieopodal ktoś z paru desek sklecił lichy pomost. Dookoła sosny, brzozy i... tylko jakoś tak pusto. Jakby życie, nie licząc jakiejś zbłąkanej ważki, po prostu wyparowało.

CZŁOWIEK PRZYŁOŻYŁ RĘKĘ

Gdyby spojrzeć na topograficzną mapę pogranicza polsko-niemieckiego, tam, gdzie nad Nysą Łużycką przeskakuje wybudowana jeszcze za Hitlera droga krajowa nr 18 z Wrocławia na Berlin, w oczy rzucą się dwie rzeczy. Po pierwsze, spore wybrzuszenie terenu w kształcie podkowy, długiej na ponad 20 km, leżącej 160–180 metrów nad poziomem morza i kilkadziesiąt metrów ponad okolicę. Po drugie, rozległe lasy, jak cętki geparda, upstrzone oczkami wodnymi. Wygląda to trochę tak, jakby potężne siły natury zrobiły tu sobie doświadczalne poletko. Wiele w tym prawdy, przy czym swoje dodał tu też człowiek. I to całkiem niedawno.

Żeby opowiedzieć, skąd wziął się Łuk Mużakowa, trzeba się jednak cofnąć do czasów zlodowaceń południowopolskich, tj. o ok. 340 tys. lat. Bo ta terenowa anomalia jest niczym innym, jak tylko moreną czołową po lądolodzie, który w tym miejscu mógł mieć nawet 5 km grubości. Łukowaty kształt jego czoła trzykrotnie spiętrzał wszystkie skrywające się pod ziemią osady geologiczne. Można powiedzieć, że siłą ustawił do pionu poszczególne ich warstwy. A był wśród nich m.in. węgiel brunatny. To właśnie ten węgiel – wraz z innymi surowcami wydobywanymi spod ziemi – zrodził z kolei demiurga w człowieku. Ponad sto lat eksploatacji wydrenowało krajobraz. Najpierw kopano w głąb ziemi, pod pewnym skosem, a porzucone szyby się zapadały. Potem, gdy technologie poszły naprzód, wydobywano metodą odkrywki. Z czasem kopalnie zamykano, bo eksploatacja przestawała się opłacać. Dziury w ziemi wypełniały się deszczówką, a gdy do głosu dochodziły również kwaśne wody podziemne, powstawało jezioro. Takich jezior jest na Łuku Mużakowa kilkaset, w tym około stu po polskiej stronie granicy. Razem tworzą pojezierze, które nauka nazwała antropogenicznym lub burowęglowym.

LEKCJA PRZYRODY

Prawdę powiedziawszy, pojezierza są trzy. Każde powstało podczas innego etapu eksploatacji złóż. I każde wygląda dziś inaczej. Są jeziora o wodzie czerwonej jak rdza, inne skrzą się turkusem, jeszcze inne toną w szmaragdach. To

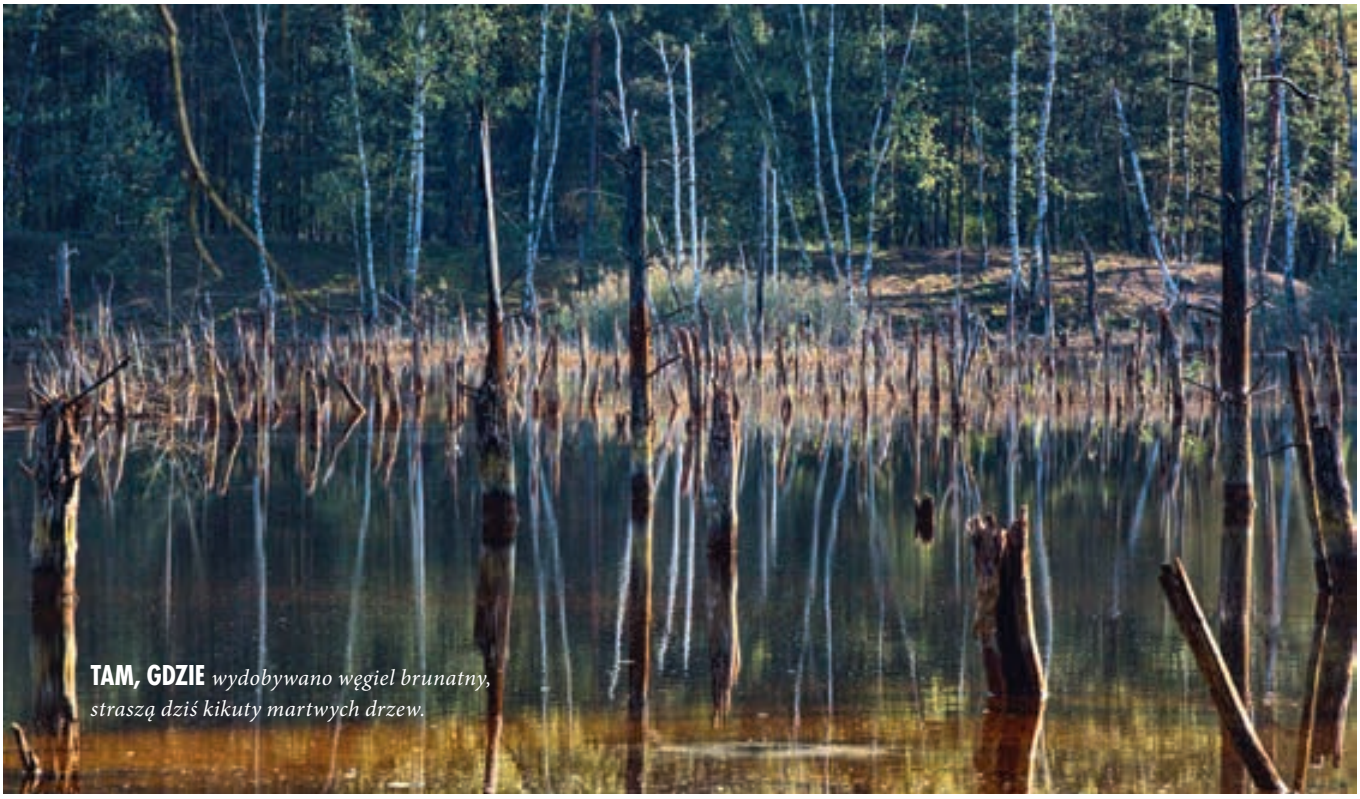

TAM, GDZIE *wydobywano węgiel brunatny, straszą dziś kikuty martwych drzew.*

NAJWIĘKSZE z JEZIOR *okolic Łęknicy z uwagi na jego kształt nazwano Afryką. Tak wygląda z wieży widokowej.*

W LASACH WCIĄŻ *kryją się schodzące pod ziemię szyby, które nie zdążyły się zapaść.*

wszystko chemia – kolory zależą od złóż, które w danym miejscu wydobywano, oraz stopnia zaawansowania procesów biologicznych pod wodą. Krótko mówiąc, im jezioro młodsze, tym bardziej zadziwia.

– Można by tu urządzać terenowe lekcje przyrody – mówi Marek Maciantowicz z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Zielonej Górze. – Najpierw pokazywałoby się jeziora najmłodsze, kwaśne, w których wciąż nie ma życia. Potem przesuwano by się na północ, w kierunku najstarszych, w których wieloletnie procesy biologiczne doprowadziły do zobojętnienia wody. Te tętnią już życiem zwierząt i roślin.

Jeszcze do niedawna po polskiej stronie łuku nie było żadnej infrastruktury turystycznej. O miejscu mało kto wiedział, a z jezior – tych mniej kwaśnych – korzystali tylko okoliczni mieszkańcy. W ostatnich latach nieopodal Łęknicy, przy współudziale Nadleśnictwa Lipinki, powstała ścieżka geoturystyczna „Dawna kopalnia Babina". Ma 5 km długości i przebiega przez tereny, które już po zamknięciu kopalni w latach 70. ubiegłgo wieku poddano rekultywacji, niejako oddając w ponowne władanie przyrodzie. Główną atrakcją – nie licząc największego jeziora, z uwagi na kształt przypominający kontynent nazwanego Afryką – jest zbudowana z modrzewia, 30-metrowa wieża widoko-

W NIEKTÓRYCH MIEJSCACH *zdewastowany krajobraz za nic nie poddaje się rekultywacji.*

WŚRÓD SOŚNINY *okalającej Nysę Łużycką rośnie krzywy las.*

wa. Przy dobrej pogodzie oprócz najbliższej okolicy widać z niej Karkonosze!

Ścieżka to inwestycja wciąż rozwijana. – Planujemy ją zapętlić tak, by zapewnić dojście do wszystkich jezior w pobliżu Łęknicy – opowiada Marek Maciantowicz. – W przyszłości, być może, przedłużymy ją do wsi Nowe Czaple, w której zachowały się jeszcze szyby kopalni Babina.

ŚRODOWISKO PRZEOBRAŻANE

Był już ciemny wieczór, gdy wdrapaliśmy się na niezliczone schody wieży widokowej. Ustawiliśmy aparat na statywie tak, by w kadrze załapała się cała „Afryka" i kominy elektrowni, położonej po niemieckiej stronie granicy. Droga Mleczna dzieliła niebo na pół, a południowy horyzont co i rusz zapełniały barwne rozbłyski wybuchów na nieodległym poligonie. Zadziwiający widok. „To nie jest środowisko przeobrażone, to środowisko nieustannie przeobrażane" – przeczytałem wcześniej w jakiejś rozprawie naukowej.

Jak urzeczony patrzyłem więc na ten nocny krajobraz ze świadomością, że to, co dziś widać na Łuku Mużakowa, to tylko chwilowy etap w jego najnowszej historii. I, że gdy za kilka dekad przyjadą tu moje dzieci lub wnuki, mogą zobaczyć zupełnie inną okolicę. ¶

WARTO WIEDZIEĆ

INNE ATRAKCJE PO POLSKIEJ I NIEMIECKIEJ STRONIE ŁUKU MUŻAKOWA

- Nie można przyjechać w okolice Łęknicy i nie zobaczyć założonego na ponad 720 ha Parku Mużakowskiego. To największy park w stylu angielskim na terenie Polski (jego mniejsza część znajduje się w Niemczech) i dwunasty polski obiekt na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Pałacowe centrum parku znajduje się w przylegającym do Łęknicy niemieckim miasteczku Bad Muskau.
- Między Trzebielem i Olszyną, na terenie Nadleśnictwa Lipinki, rośnie tzw. krzywy las, jeden z kilku w województwie lubuskim. Sosny są tam wygięte jak saksofony. Przypuszcza się, że to pamiątka pozostawiona przez stacjonujących tam w czasie drugiej wojny światowej radzieckich żołnierzach, którzy mniej lub bardziej celowo uszkadzali młode drzewa.
- W Trzebielu znajdziemy sporo zabytków z jeszcze starszych czasów, m.in. szubienicę z zachowanym fragmentem muru z XVI w.
- Do tzw. Dużego Stawu, jednego z najstarszych jezior na Łuku Mużakowa, nieopodal Tuplic w Nadleśnictwie Lubsko, przylega kilkunastometrowa wydma, także powstała w wyniku cofania się lodowca.
- Warto zobaczyć również park różaneczników w oddalonym 4 km od granicy Kromlau oraz wieżę widokową czynnej kopalni odkrywkowej w Nochten.

NIE BÓJ SIĘ ZIMY!

TO PRZEPIĘKNA PORA ROKU. ZWŁASZCZA W LESIE, KIEDY MRÓZ I ŚNIEG PIĘKNIE POSPOŁU OZDOBIĄ KRAJOBRAZ, A PRZYRODA WYDAJE SIĘ JESZCZE BARDZIEJ DZIKA I NIEDOSTĘPNA. DLA JEDNYCH TO PORA, BY GŁĘBIEJ ZAPAŚĆ W DOMOWYCH PIELESZACH, A DLA INNYCH OKRES STARTÓW W ZIMOWYCH MARATONACH.

TEKST: **Bartosz Konopka**
ZDJĘCIA: **Marcin Mioduszewski**

Większość osób biegających okazjonalnie, uprawia w zimie sporty typu in-door – siłownia, basen, fitness czy crossfit mają im zastąpić bieganie. Głównym argumentem przemawiający za takim wyborem bywa obawa przed mrozem. Czy słusznie? Bo przecież nie taki mróz straszny, jak go malują. A zatem parę zdań o obu modelach uprawiania sportu zimą.

ODPOCZYWANIE, CZYLI ROZTRENOWANIE...

Pojęcie roztrenowania jest dość istotną pozycją w planie treningowym zawodników. Roztrenuj się, czyli zajmij się czym innym. Daj odpocząć organizmowi, zalecz mikrourazy, skorzystaj trochę z życia, jedzenia. Daj odpocząć głowie. Odpoczywanie to niekoniecznie leżenie. To sztuka spędzania czasu wolnego od biegania w taki sposób, aby znów zapragnąć wiatru we włosach i widoku leśnych ścieżek, aby stać się jeszcze mocniejszym.

Sezon zimowy to naturalny okres, w którym można zwolnić, zmniejszyć intensywność treningów, a nawet zupełnie przestać biegać. Totalny luz, totalny odpoczynek. Nie warto jednak zaprzestać aktywności ruchowej. Zamiast biegania można wybrać długie spacery. Herbata w termosie, bułki z serem i skrzypiący śnieg pod nogami – w drogę. Kto ma, niech zabierze ze sobą rodzinę. To wspaniała okazja do spędzania czasu razem i pokazania dzieciom świata poza tabletem i ekranem smartfona, chociaż ten ostatni bardzo się przyda do dokumentowania wycieczki. Warto spoglądać w górę i rozglądać się za zimowymi kadrami – przymarznięte liście, oszronione trawy, zamarznięte owoce, ostre słońce przebijające się przez bezlistne korony drzew aż proszą się, by je uwiecznić.

BIEGAM, BO LUBIĘ LASY to organizowany przez Lasy Państwowe we współpracy z klubem BBL cykl otwartych biegów przez tereny leśne. Zawody odbywają się w formule Grand Prix, a każdy z czterech biegów zapowiada inną porę roku. Po sukcesie pierwszej edycji, w której wystartowało prawie 1500 biegaczy, organizatorzy w tym roku zwiększają limit do 400 miejsc w każdym biegu. Dorośli mają do wyboru dwa dystanse: 5 i 10 kilometrów. Biegi dzieci rozgrywane są w trzech kategoriach wiekowych i na trzech dystansach. Jest też możliwość wystartowania w marszu *nordic walking* (5 km). Biegi odbywają się na terenie podwarszawskiego Nadleśnictwa Chojnów (obiekt rekreacyjny w uroczysku Zimne Doły). Po każdym biegu uczestnik otrzymuje fragment medalu, a udział we wszystkich czterech imprezach gwarantuje zebranie kompletu jego części, symbolizujących las w czterech kolejnych odsłonach natury. Udział w biegach jest bezpłatny.

BiegamBoLubię

bbl

Lasy

...A MOŻE JEDNAK...?

Nie wszyscy zawodnicy planują roztrenowanie zimą, tak jak nie wszyscy amatorzy boją się śniegu. Bieganie po lesie w zimie jest niesamowicie ekscytujące. Ale barierą może okazać się niedostateczna motywacja. Najtrudniej wyjść z domu. Nie szukajmy wymówek w pogodzie, temperaturze i obfitości śniegu – tak podchodząc do sprawy, nigdy w zimie biegać nie będziecie. Aby dobrze i bezpiecznie czuć się zimą na leśnych ścieżkach, wystarczy przestrzegać podstawowych zasad.

Ubierzmy się ciepło, ale nie za grubo, najlepiej „na cebulkę". Odzież termiczna, bluza i kurtka – tyle wystarczy. Po 500 metrach organizm się rozgrzeje. I będzie już nam ciepło.

Załóżmy nieprzemakalną kurtkę, chroniącą przed wiatrem. Ograniczy ona przenikanie wiatru przez odzież i szybkie wychładzanie organizmu.

Chrońmy głowę, zwłaszcza uszy. Czapka, opaska, kaptur są obowiązkowe, nawet jeśli jesteście zdania, że wam są zbędne – noście je. Przeziębione zatoki i odmrożone uszy to naprawdę nic przyjemnego.

— Zima to świetny czas do biegania. Na spotkanie z nią trzeba być jednak dobrze przygotowanym. —

Nie zapomnijmy o rękawiczkach. Nie ma twardzieli, którym dłonie nie zmarzną na mrozie. Palce mają najgorsze krążenie podczas biegu. Wystarczy schylić się, aby zawiązać but – momentalnie kostnieją, a rozgrzać je jest niezmiernie trudno.

Wybierzmy buty do biegów terenowych, najlepiej trailowe, o podeszwie „ostrej", dającej gwarancję stabilności i trzymania się podłoża. Tego typu buty zdecydowanie lepiej też trzymają się śliskich nawierzchni.

Jeśli biegniecie po mokrym terenie, zbytnio nie przejmujcie się przemoczonym obuwiem. Dopóki stopy są rozgrzane, nic im nie będzie.

Jeśli dotkliwie wieje i jest naprawdę zimno, starajcie się nie zatrzymywać. Każdy postój oznacza ryzyko szybkiego wychłodzenia ciała. Planujcie trasę tak, aby po drodze nie znalazły się przeszkody terenowe, zmuszające do postoju.

Z zimowego biegania w temperaturze około zera stopni człowiek zawsze wróci mokry. Planujcie zatem takie trasy, aby doprowadziły was do drzwi mieszkania. Jeśli jedziecie na trening samochodem i kończycie bieg przy aucie – obowiązkowo musicie mieć ze sobą komplet suchej odzieży. Zaraz po biegu zamykamy się w samochodzie i szybko przebieramy, o bieliźnie nie zapominając.

Jeśli planujecie dłuższe wybiegania i poczujecie, że coś jest z wami nie tak – coś zaczyna boleć, nie czujecie się mocni, coś obciera – natychmiast zawracajcie. Bagatelizując ostrzeżenie organizmu, trzeba liczyć się z tym, że po kilku kilometrach przyjdzie zatrzymać się w szczerym polu, na wygwizdowie. A jak nie dacie rady biec dalej, narażacie się na błyskawiczne wychłodzenie ciała.
Miejcie przy sobie – naładowany! – telefon komórkowy. Nie tylko po to, aby robić zdjęcia. Ważny jest kontakt z wami. Zapakujcie też do plecaka folię izotermiczną NRC.

BĄDŹMY W KONTAKCIE

Zawsze, bez żadnych wyjątków, informujcie bliskich, gdzie będziecie biegać, jak wygląda trasa i o której godzinie planujecie powrót. Dla własnego bezpieczeństwa ustalcie godzinę kontaktu telefonicznego. Umówcie się też z bliskimi czy z przyjaciółmi, że jeśli po jakimś czasie nie będziecie odbierać telefonu, to należy rozpocząć poszukiwania – to bardzo ważne, zwłaszcza w górach i na leśnym bezludziu.

Meldujcie zawsze, jak skończycie bieg, żeby nie było tak, jak z moim kolegą. Po długim wybieganiu zaszedł do piwniczki jakiejś karczmy, by nieco tam odsapnąć. Trochę się zasiedział, nieświadomy, że w podziemnym pomieszczeniu jego telefon jest poza zasięgiem sieci. Kiedy wyszedł na zewnątrz, na jego poszukiwania już jechał GOPR. Tak właśnie, szybko, działa w zimie dobra żona biegacza.
Zachęcam wszystkich do spróbowania swych sił w zimowym bieganiu. Gwarantuję moc wrażeń. Niezależnie od tego, czy bliżej wam do biegaczy zimą odpoczywających czy trenujących, życzę, aby ta zima była prawdziwa – z odpowiednią dawką śniegu i stosownym mrozem. ¶

DUSZA I DŹWIĘK

WIELE WSKAZUJE NA TO, ŻE RYTMICZNE UDERZANIE GAŁĘZIĄ O JAKIŚ KAWAŁ ZMURSZAŁEGO PNIAKA, POŁĄCZONE Z POHUKIWANIEM I GARDŁOWYM ŚPIEWEM, BYŁO PIERWSZĄ FORMĄ MUZYKI. BADANIA ARCHEOLOGICZNE W DUŻEJ MIERZE TO POTWIERDZAJĄ. Z DREWNA, KOŚCI I KAMIENIA ZRODZIŁY SIĘ NASZA CYWILIZACJA I KULTURA.

TEKST: **Maciej Kupś**

Bez drewna nie byłoby muzyki ani w czasach, kiedy powstawała, ani dziś. Skoro pierwsi z naszych praprzodków chwytali za gałąź w celu stworzenia z niej prymitywnej broni, pomocnej przy zdobywaniu pożywienia, to naturalny wydaje się również wniosek, że syci i ogrzani ciepłem ognisk, wykorzystywali w swych jaskiniach kawałki drewna do tworzenia przedmiotów mających dawać rozrywkę lub do wzbogacania pierwszych rytuałów i obrzędów.

Czy można jednak mówić o drewnie i dźwięku, pomijając ten oczywisty, muzyczny aspekt? Ależ tak! W naszym codziennym życiu drewno jest przecież wszechobecne, a i wszelkiego rodzaju dźwięki stanowią nieodzowną część co-

STUKANIE POBIJAKA
o dłuto jest jak tykanie starego zegara.

Fot. Shutterstock/aodaodaodad

Fot. Shutterstock/Lucas Goyda

NIEKTÓRE INSTRUMENTY *do dziś kryją tajemnicę swego unikalnego brzmienia.*

dziennego bytu. Spróbujmy więc wybrać się w podróż do świata łączącego dźwięki i drewno w nieco innej perspektywie. Tak trochę z przymrużeniem oka, bo przy zamkniętych oczach dźwięki stają się bardziej wyraziste…

KAŻDY SŁYSZY CO INNEGO

To niesamowite, jak odmienne skojarzenia z zestawieniem tych dwóch słów będą mieli ludzie o różnych, choć związanych z drewnem, profesjach. Leśnik przywoła zapewne wspomnienie niosącego się po mroźnym, zimowym lesie stukania siekier na zrębie, podczas wyrobu gałęziówki. Równie łatwo odtworzy w pamięci odgłosy chrustu trzaskającego w ognisku – życie leśnika pełne jest przecież takich doznań.

Pracownikowi tartaku dźwięk drewna będzie kojarzył się już znacznie mniej przyjemnie. Monotonny i wszechobecny, wypełniający otoczenie przez wiele godzin odgłos przecierania dłużyc to doświadczenie, w którym dźwięk jest raczej negatywnym bohaterem. Choć przecież i w tym rytmicznym, mechanicznym tumulcie, przypominającym podróż pędzącą lokomotywą, jest coś wzniosłego i symbolicznego – to paradoksalne połączenie odgłosów ostatniej drogi stojącego niegdyś dumnie drzewa z pieśnią powitalną nowo powstałej materii – drewna, z którego tworzyć się będzie wiele pożytecznych i pięknych przedmiotów…

W kontekście dźwięku producent okien lub drzwi będzie postrzegał drewno bardzo technicznie. Dla niego to głównie materiał o parametrach izolacyjnych. Rodzaje surowca będą więc o tyle ważne, o ile ich przewodnictwo akustyczne pozwoli, bądź nie, na stworzenie okna odpowiednio dźwiękoszczelnego. Mające więc stosunkowo małą gęstość drewno sosny lub świerka jest znacznie lepszym materiałem na okienną stolarkę niż cenniejsze, wydawałoby się, dębowe czy bukowe. Z tych samych zresztą, akustycznych powodów producenci paneli podłogowych polecają położenie ich na warstwie płyt z pyłu brzozowego bądź topolowego. Jak bardzo może dać się we znaki brak takiej izolacji dźwiękowej – wie każdy posiadacz paneli podłogowych i… dużego psa. Mało może w takim podejściu romantyzmu, ale względy praktyczne są w tym wypadku nie do przecenienia.

Zupełnie inaczej brzmi drewno w warsztacie rzeźbiarza, snycerza czy stolarza uprawiającego tradycyjne, ręczne rzemiosło. Nieśpieszne i nieregularne stukanie pobijaka o dłuto jest jak tykanie starego zegara, wyznaczającego godziny spędzone nad kolejnym dziełem. Nie rozprasza ani nie drażni. Wręcz przeciwnie, jest jak mantra – daje ukojenie i pozwala skupić się na „tu i teraz". Dźwięk po każdym uderzeniu jest też jak wskazówka – podpowiada, czego można spodziewać się w kolejnym kroku. Czy drewno będzie w tym miejscu twardsze niż obok? Czy stawi ostrzu większy czy mniejszy opór? Jest w tych dźwiękach jakiś rodzaj melancholii, może nawet obawy, że kolejna forma tradycyjnego rękodzieła znika w wyścigu ku przyszłości…

CIĄGLE TAJEMNICZE

Muzyczny kontekst dźwięku wydobywającego się z drewnianych instrumentów jest oczywisty. Jednak nawet lutnik i muzyk „słyszą" drewno inaczej niż przeciętny meloman. Wychwytują niuanse sprawiające, że jedne instrumenty cenione są wyżej od innych. Rodzaj drewna użytego w produkcji ma wpływ nawet na brzmienie gitar elektrycznych, a cóż dopiero instrumentów akustycznych. Wybitne egzemplarze skrzypiec, altówek czy wiolonczeli, które wyszły spod rąk mistrzów pokroju Antonio Stradivariego, do dziś kryją tajemnice swojego unikalnego brzmienia. Cena wywoławcza 45 mln dolarów za jedną z jego altówek nie jest podyktowana wyłącznie względami marketingowymi czy snobizmem potencjalnego nabywcy. W wypadku tego, bez mała trzystuletniego instrumentu wyjątkowo głęboki dźwięk zaklęty w drewnie do dziś nie został odkodowany i skopiowany. Cóż z tego, że niby wszystko o nim wiadomo: wierzchnia płyta altówki jest zrobiona z alpejskiego świerku, a spodnia z klonu… Drewno, jak się okazuje, podobnie jak cała natura, kryje jeszcze przed człowiekiem mnóstwo tajemnic. I może niech tak pozostanie. ¶

LECĄC Z ŁABĘDZIAMI

Fot. Rob Keen/Flight of the swans

TYSIĄCE KILOMETRÓW
do pokonania.

ABY LEPIEJ POZNAĆ ŁABĘDZIE CZARNODZIOBE, BRYTYJSCY NAUKOWCY PRZYŁĄCZYLI SIĘ DO ICH DOROCZNEJ MIGRACJI NA ZIMOWISKA. POLECIELI PARAMOTOLOTNIĄ.

TEKST: **Adam Robiński**

19 września, wczesne godziny poranne. Delta Peczory nieopodal ujścia do Morza Barentsa, północna Rosja. Lekki wiatr ze wschodu oznacza, że wieje w plecy, pora więc ruszać. – Jestem bardzo podekscytowana tym, że wreszcie zaczynam. Planowałam tę ekspedycję dwa lata – mówi Sacha Dench z brytyjskiego stowarzyszenia The Wildfowl and Wetland Trust (WWT), zajmującego się ochroną mokradeł i ptaków wodnych. Przez najbliższe miesiące towarzyszyć będzie tysiącom łabędzi czarnodziobych w ich migracjach z rosyjskiej Arktyki do zimowisk w Wielkiej Brytanii. Tak jak one, pokona dystans kilku tysięcy kilometrów w powietrzu. Siłę ptasich mięśni w jej wypadku zastąpi paramotolotnia. Pierwszy etap podróży to ponad 600 km surowej tundry.

DLACZEGO GINĄ?

Łabędź czarnodzioby, zwany tez łabędziem Bewicka, to nieco mniejszy kuzyn krzykliwego. Różni się od niego proporcjami barw na dziobie – więcej tam czerni kosztem żółci. Według ostatnich szacunków, pochodzących z 2010 r., tych łabędzi jest dziś w Europie około 18 tys. A jeszcze w połowie lat 90. ub.w. doliczono się ich 29 tys. Tak ogromny spadek raptem w ciągu dwóch dekad nie daje spać ornitologom. Dlaczego coraz mniej tych ptaków dolatuje do swoich zimowisk? Dlaczego coraz mniej lęgów w północnej Rosji kończy się sukcesem? I wreszcie: ile mamy dziś, jesienią 2016 r., łabędzi czarnodziobych? Podróż Saszy Dench pod banderą akcji „Lecąc z łabędziami" (*Flight of the Swans*) ma pomóc odpowiedzieć na te pytania.

29 września, okolice Archangielska. Lot przez mroźną tundrę był dłuższy niż planowano. Po drodze zepsuł się silnik jednej z lotni. Trzeba było czekać na helikopter, wcześniej korzystając z pomocy łowców reniferów, bowiem na nieplanowanym postoju nie było co jeść, a poza tym w okolicy nietrudno natknąć się na niedźwiedzia polarnego. Po drodze widać coraz więcej migrujących łabędzi. Kolejny odcinek to tajga. Ptaki pokonują ją ciągiem, bez odpoczynku, bo na leśnym pustkowiu brakuje

akwenów. Dench musi lądować co trzy godziny, żeby zatankować lotnię. Nieustannie szuka więc bitych dróg, bo tylko na nich można posadzić w lesie maszynę.

KAPRYSY TUNDRY

Problem z policzeniem europejskiej populacji czarnodziobego w dużej mierze wynika z miejsca gniazdowania. Naukowcy zaobserwowali znaczne wahania roczne w liczbie wykluwających się młodych. W latach, w których tundra obfituje w gryzonie – lisy czy myszołowy włochate dają pisklętom spokój. W innym wypadku drapieżniki plądrują gniazda łabędzi. Kolejna sprawa to pogoda. Wyjątkowo mroźne zimy zaniżają sukces rozrodczy łabędzi i wówczas o wiele mniej młodych rusza w drogę na zimowiska. Pierwszy taki przelot odbywa się już kilka miesięcy po wykluciu. Potem przez kolejne cztery lata młody łabędź lata z obstawą rodziców, by wreszcie się usamodzielnić.

7 października, Kargopol nad Onegą. 10 dni opóźnienia w stosunku do planu. Zły wiatr na kilka dni uziemił ekipę w okolicach Archangielska. Lecą wolniej od łabędzi (45 km/h w porównaniu z nawet 70 km/h ptaka), zostają w tyle. – Lecę w sześciu warstwach ubrania, mam podgrzewane rękawice, a gogle przepuszczają powietrze. Jest zimno. To wszystko jest bardzo wyczerpujące fizycznie i mentalnie – mówi Sacha.

MIGRACJA PEŁNA NIESPODZIANEK

Są już pierwsze doniesienia o czarnodziobych w Niemczech i Holandii. Doleciały wcześniej niż zwykle. Co trzeci łabędź, który w końcu trafia do Wielkiej Brytanii, ma w ciele ślady śrutu. Ptaki są pod ochroną, ale i tak się do nich strzela. Głównie w Rosji, gdzie na odludziu ciągle powstaje nowa infrastruktura związana z kopalnictwem, a wraz z nią drogi. Kłusownicy mają więc ułatwiony dostęp do głuszy. Inny problem to linie wysokiego napięcia, na które ptaki wpadają, bo gdy lądują o zmroku, po prostu ich nie widzą.

10 października, przedmieścia Sankt Petersburga. Dench ma pecha – podczas próby startu krzywo stawia nogę, potem jest tylko ból. Z lasu wyskakuje para starszych tubylców z siatkami pełnymi żurawiny. – Pomoże, wyleczy – zapewniają. Diagnoza jest jednak bezlitosna – zwichnięta rzepka. Lekarz zaleca sześć tygodni odpoczynku.

14 października, wciąż Sankt Petersburg. Kolano Saszy nie nadaje się do dalszej drogi, ale to nie koniec ekspedycji. Od tej pory Brytyjka będzie leciała na motolotni z trzema kołami. Będzie startować i lądować jak samolot, bez udziału kontuzjowanej nogi. Tymczasem tysiące łabędzi są już nad Zatoką Fińską. To obok jeziora Pejpus na granicy z Estonią ich najważniejsze miejsce odpoczynku podczas migracji.

BYLE BYŁO MOKRO

Kto wie, czy najbardziej zabójcze dla łabędzi nie są procesy odwadniania mokradeł w całej Europie. Ptaki wodne tracą coraz więcej żerowisk, a ich migracje naznaczone są rosnącą niepewnością. Znikają rzeki, strumienie, jeziora, torfowiska – cały życiodajny system mokradeł, który łączy lądy z oceanami. Choć głównym celem ekspedycji jest lepsze poznanie łabędzi czarnodziobych, drugi, nie mniej istotny obiekt zainteresowania WWT to właśnie mokradła. Akcji towarzyszy zbieranie podpisów pod petycją nakłaniającą władze Wielkiej Brytanii do przywracania naturalnego charakteru terenom podmokłym.

20 października. W porze lunchu Sacha wlatuje na terytorium Estonii. Zatrzyma się m.in. w Tartu, a potem w Polsce: nad Biebrzą, w okolicach Bydgoszczy i w Parku Narodowym „Ujście Warty".

Podróż od delty Peczory zabrała jej pięć tygodni. Łabędzie ten sam dystans pokonują nawet w 48 godzin. W Estonii doliczono się już 3 tys. osobników. Pierwszą rodzinę ptaków – dwa dorosłe z młodym – zaobserwowano z kolei w rezerwacie Welney w hrabstwie Norfolk na wschodzie Wielkiej Brytanii. To dla nich koniec jesiennej wędrówki. ¶

Fot. materiały prasowe WWT

SACHA DENCH
planowała tę ekspedycję dwa lata.

ŚNIEG ODKRYWCA

ŚWIAT POD BIAŁĄ KOŁDERKĄ. ALE ZAKRYWAJĄC JEDNE DETALE, ŚNIEG ODKRYWA ZARAZEM DLA NASZYCH OCZU INNE, KTÓRYCH NIE ZDOŁAŁ ZASYPAĆ. NAWET TE ZAWSZE WIDOCZNE, ALE NIEDOSTRZEGANE, W TOWARZYSTWIE BIELI ZACZYNAJĄ RZUCAĆ SIĘ W OCZY, NABIERAJĄC UROKU. TO NIE LADA GRATKA DLA FOTOGRAFA ZIMOWEGO LASU.

TEKST: **Tomasz Kłosowski** ZDJĘCIA: **G&T Kłosowscy**

W zimie (takiej z prawdziwego zdarzenia) na ogół oczekujemy w lesie bajkowej, nieledwie cukrowej scenerii, chcielibyśmy, by runo przybrało postać falującej kołdry, a iglaki podszytu – opatulonych na biało postaci. Coraz częściej daremne to nadzieje, bo zimy – bezśnieżne, szare i mdłe – czasem tylko sypną nieco bielą, jak z łaski. Ale właśnie z tej łaski szczególnie warto skorzystać. Skromniejszy opad śniegu nie tworzy wprawdzie tej wymarzonej – ale też przecież trochę kiczowatej! – okiści, ale może przebudować architekturę leśnego wnętrza. Wykreśla nowe linie i płaszczyzny, wyrysowuje przedtem niezauważane detale. Czyni to szybko, zazwyczaj też na krótko, a to prawdziwe wyzwanie dla iście łowieckiego instynktu niejednego fotografa przyrody.

NIEŚMIAŁY PIERWSZY ŚNIEG

Nam jednak chodzi nie tyle o ten pierwszy śnieg, ale taki, który pojawił się – niezbyt obficie – na powierzchni dotąd bezśnieżnej. Dla takiego opadu sklepienie lasu jest jak sito dla mąki. Pobielone zostaną najpierw tylko niektóre fragmenty, na ogół te bardziej wystawione ku niebu. To sprawi, że zostaną wydobyte subtelności leśnej topografii, nieraz – ku naszemu zaskoczeniu.

Chcąc kiedyś przy takiej lekko śnieżnej pogodzie skrócić sobie drogę przez monotonną, sosnową drągowinę, stanąłem na jej brzegu zdumiony, widząc, że tak naprawdę nie bardzo mam prawo tędy przejść. Oto wśród posypanej, niczym cukrem pudrem, drobnym śniegiem powierzchni ciągnęły się równoległe, ciemne i kręte pasy. Jakiś czas temu podsadzono tu młode drzewa,

ale suche igliwie i posusz zamaskowały dyskretne, pełne zakrętów rowki, czyniąc je niewidocznymi. Dopiero śnieg, a raczej śnieżek, wyrysował je i uwidocznił, pobielając najpierw wyższe partie między nimi. Obraz był na tyle sugestywny, że postanowiłem rozstawić statyw i uwiecznić widok umiarkowanie długim obiektywem. Statyw był konieczny wobec pomroki zimowego dnia i konieczności mocnego, gwarantującego dużą głębię ostrości przysłonięcia obiektywu, bowiem zdjęcia ukazujące faktury lubią być na całej powierzchni ostre (fot. 1).

Nie wyobrażam sobie, jak o tej porze roku i przy takim świetle mógłbym innym sposobem ukazać tę scenę. Śnieg okazał się pomocny – w podobny sposób uwidacznia on inne szczegóły dna lasu, zatopionego w jesienno-zimowej szarzyźnie: mało uczęszczane drogi, ścieżki zwierząt, nasypy dawnych leśnych kolejek itp.

Z WIATREM POD RĘKĘ

Drobny śnieg, goniony po lesie przez mocny wiatr, przynosi nieco inne, bardzo plastyczne efekty, ożywiające monotonne drzewostany przy nieciekawej, pochmurnej pogodzie. Wiatr nie pozwala drobnym śnieżynkom utworzyć pokrywy. Przepędzając je, sprawia, że pobielają tylko detale wystawione w stronę podmuchu, odstające w górę. Ale za pniami drzew, gdzie podmuchy nie docierają, śnieg może zalec spokojnie. Tworzy tam podłużne, klinowate pasma, które wyglądają jak... białe cienie, rzucane na ziemię przez pnie. Te, jak krótkie, śnieżne ostrza tworzą wraz pniami regularną mozaikę. Patrząc na takie zdjęcie, można wręcz odnieść wrażenie, że oglądamy negatyw leśnego pejzażu.

Oto przykład, jak śnieg okupujący pewne miejsca, a nieobecny w innych, może ożywić na pozór nieciekawy fragment lasu. Na zdjęciu, co widać dalej pomiędzy drzewami, zachowaliśmy także miejsce, w którym powstał ten efekt – skraj polany. Można by jednak ten fragment odciąć, pozostawiając samą mozaikę i uzyskując mocniejszy rezultat nieledwie czarno-białej grafiki... (fot. 2).

Gdy sypnie mocniej, ale nie za mocno i śniegiem niezbyt mokrym, leśny fotograf pejzażysta uzyska nową szansę. Śnieżna kołderka zaścieli ziemię, ale nie zdoła oblepić wielu drobnych, wystających z niej obiektów. I nagle, jak na białej karcie, ukażą nam się wiechcie traw, wyższe kępy mchów, małe drzewka, a nawet pozostałe z jesieni grzyby. To wszystko jakby nowe detale w wizualnym umeblowaniu leśnego wnętrza, wzmacniające kompozycję obrazu.

GDY SŁOŃCE PRZYGRZEJE,

wtedy spod śniegu, jako pierwsze, wytapiają się obiekty nieco wyniesione, zwykle najcieniej przysypane – głowiaste kępy turzyc, traw, nieraz głazy, malownicze pniaki itp. Jeżeli warstwa śniegu była grubsza, detale te wystają z niej, jakby ze śniegowych czy lodowych okienek. Rozrzucone równomiernie, tworzą wśród jeszcze niestopniałego śniegu jedyny w swoim rodzaju, krótkotrwały krajobraz. Często bywa to pierwszy w miarę barwny i żywy widok w lesie na przedwiośniu.

Oto leśna droga, którą zasypał i zasłonił przed nami świeży śnieżny opad. Ale nie dał rady niepozornej, choć dziarsko w górę sterczącej wstędze traw, ciągnącej się środkiem koleiny, zamaskowanej przez puch. Droga zatarła się i rozmyła, ale ten detal przejął rolę głównego kompozytora zdjęcia i trzyma go w geometrycznych ryzach. Obiektyw o dość długiej ogniskowej – ok. 200 mm – skrócił perspektywę wstążki traw, czyniąc z niej gęstą, falistą szczotkę. Bez tego centralnego detalu obrazek byłby płaski i nudny (fot. 3).

NIE DAJĄ SIĘ ZASYPAĆ

Drobny i niezbyt obfity śnieg pozostawia odsłonięte obiekty, na których nie potrafi się on utrzymać, a najczęściej:

- **wstęgi i kępy wysokich traw** – często ciągną się wzdłuż leśnych dróg, a gdy te przysypie śnieg, wydają się na jego tle gęstsze i wręcz przypominają niskie ogrodzenie,
- **łany wyższych roślin runa** – jeżeli są regularne, tworzą mozaikę białych i brunatnych detali. Przykładem niech będzie łan uschniętego bagna zwyczajnego, porastający podmokły brzeźniak (fot. 4),
- **ścieżki zwierząt** – zwykle ginące wśród runa, ale bardzo wyraźnie wyrysowywane, gdy otoczenie przyprószy śnieg. Szczególnie dobrze widoczne stają się wtedy ścieżki bobrowe, prowadzące z zalewisk na ląd ku drzewom, które te gryzonie zamierzają ścinać,
- **płynące strugi** – przy niezbyt niskiej temperaturze taki śnieg nie zdoła ich zasypać, a, pobielając otoczenie, czyni ich wody mocnym, czarnym lub brunatnym akcentem w leśnym krajobrazie,
- **młode świerki podszytu** – działają jak parasole, nie dopuszczając drobnego i krótko padającego śniegu do warstwy ściółki pod swymi gałęziami. Jeżeli rosną w dość regularnych odstępach, np. jako podszyt sosnowej drągowiny, powstaje mozaika ciemnych kręgów wśród jasnej, ośnieżonej płaszczyzny.

ŚNIEG NIE ZOSTAJE NA LODZIE

Lód, skuwający płytkie leśne zalewy, pospołu z drobnym i sypkim śniegiem, wyczarowują nowe zimowe wizje. Zwłaszcza w mocno podmokłych olsach i borach bagiennych, gdzie na znacznych przestrzeniach pomiędzy równo stojącymi drzewami rozciąga się lustro wody. Gdy zamarznie, goniony wiatrem po lodzie śnieg, zamiast zostać na lodzie, w większości skupia się wokół pni drzew, otaczając je białymi kołnierzami. Przez to nieciekawa, szara lodowa tafla zamienia się w bajkową kompozycję. Dla odmiany – odwilż, topiąc lód, pozostawia śnieg nie na lodzie, tylko na... lądzie – właśnie na wyniesieniach wokół drzew. Białe pierścienie wokół pni nabierają wtedy naprawdę mocnego wyrazu. Drzewa wyglądają czasem, jakby wyrastały z piany, zaś woda, dzięki sąsiedztwu bieli, wydaje się czarniejsza, głębsza, wręcz groźna.

Gdy pod topniejącym pomiędzy drzewami lodem lub śniegiem zalega torfowe błoto czy butwiejące igliwie, na wierzch zaczynają wypełzać brunatne lub żółte plamy. W zestawieniu ze skupionym pod drzewami grubszym śniegiem wyglądają ponętnie i tworzą jedyny w swoim rodzaju barwny pejzaż (fot. 5).

BIAŁO, WIĘC KOLOROWO

Delikatny śnieżny wystrój, powstający za sprawą niezbyt obfitych opadów, sprzyja wydobyciu tego, co w szarzejącym na zimę lesie pozostało jeszcze kolorowe. Solidna okiść zamaskuje to doszczętnie, ale cienka warstwa śniegu pozwoli nędznym resztkom złotych czy zielonych liści, mchów czy przemarzniętych owoców leśnych krzewów zaistnieć jako urokliwym ozdobom. Stają się nie tylko widoczne, ale ich barwa nabiera nasycenia. W niektórych okolicach, zwłaszcza w lasach podgórskich z obfitym podszytem bukowym lub grabowym, spotkanie pierwszego śniegu z ostatnimi kolorowymi liśćmi przynosi zaiste malarskie efekty. Śnieżyca w jesiennym lesie – to zresztą temat sam w sobie, źródło wielu pięknych i sławnych leśnych zdjęć. Tutaj napomykamy tylko, że niewielki śnieg może sprawić, iż nawet szare dni w zimowym lesie dla fotografa mogą stać się kolorowe. ¶

Fot. Paweł Młodkowski

PRZYDAŁABY SIĘ... TRZECIA RĘKA

MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE MIEJSCEM PRACY PAWŁA MŁODKOWSKIEGO OD KILKUNASTU LAT JEST PRZESTRZEŃ POWIETRZNA. CZASAMI, GDY NA PARALOTNI WZBIJA SIĘ W PRZESTWORZA, BY ZROBIĆ KOLEJNE ZDJĘCIA, PRZEŻYWA STANY BLISKIE EUFORII.

TEKST: **Eugeniusz Pudlis**

Jak to się stało, że nie poszedł w ślady Bruce'a Lee, choć bardzo intensywnie uprawiał karate, a wyedukowany gruntownie na leśnika – nie został w tym zawodzie, za to – obsypywany od lat nagrodami – robi karierę latającego fotografa?

PIERWSZY LOT

To było podczas studiów. Wyjechali paczką w góry, w okolice Nowego Sącza. Jedną z atrakcji było latanie paralotnią. Najpierw na stoku góry wysłuchali wykładu doświadczonego paralotniarza, potem zaczęły się próbne starty. Pierwszy z uczestników próbował trzykrotnie. Bez skutku.

– Przyszła moja kolej – wspomina Paweł Młodkowski. – Wpiąłem się w uprząż i pierwszym „strzałem" wzbiłem się w powietrze. Gdy grunt uciekł mi spod stóp i znalazłem się kilkanaście metrów nad ziemią, ogarnęło mnie przerażenie. Zacząłem wołać do kolegów na dole: jak mam lądować? Ale oni nie słyszeli, krzycząc: wystartowałeś fantastycznie! Po kilkunastu sekundach wylądowałem między kopkami siana, orając brzuchem ziemię. Cały, zdrowy i ogromnie szczęśliwy. Wtedy uświadomiłem sobie, że to jest to!

Lata intensywnie od dwunastu lat. Pierwszy raz zabrał ze sobą aparat w powietrze, kiedy prowadził z kolegą kawiarenkę interneto-

Fot. Paweł Młodkowski

„ZIELONA POLSKA” *na Wolinie.*

wą w Kluczborku. Wzbijał się wtedy od czasu do czasu w górę, żeby się odstresować. Chciał też pokazać rodzicom, co widzi z wysokości ponad tysiąca metrów i dlaczego latanie jest aż tak fascynujące. Na pytanie, jak łączy pilotowanie, do którego potrzebne są dwie ręce, z fotografowaniem, żartuje, że w trudnych warunkach pogodowych przydałaby się… trzecia ręka, ale i bez niej daje sobie radę. – Za to latanie wspomagane silnikiem, gdy w powietrzu nic specjalnego się nie dzieje, nie wieje silny wiatr, a pogoda jest przewidywalna – opowiada – jest banalnie proste.

PUNKTY ZWROTNE

Wychował się w leśniczówce. Rodzice, absolwenci wydziału leśnego poznańskiej uczelni, którą potem sam ukończył, byli zawodowo związani z Lasami Państwowymi. On odbył staż w Nadleśnictwie Wejherowo. To był wspaniały okres. Przedstawiono go jako fotografującego leśnika, znalazł się budżet na slajdy i – wykonując obowiązki stażysty – był równocześnie w nadleśnictwie „nadwornym” fotografem.

– Po stażu okazało się, że na razie nie ma dla mnie etatu. Specjalnie się tym nie przejąłem. Pomyślałem, że to taki znak z góry: „praca w lasach – nie dla mnie”. Postanowiłem tę zawodową wolność wykorzystać.

— Podniebne eskapady są dla niego czymś niezwykłym. Twierdzi jednak, że nie jest fotografującym pilotem, lecz latającym fotografem. —

To wtedy założył z kolegą informatykiem wspomnianą kawiarenkę internetową. To nie był dobry interes. Dorabiał jako przedstawiciel handlowy na rynku środków agrochemicznych.

Jego pierwszym mistrzem i mentorem w dziedzinie fotografowania był Leszek Szurkowski – grafik, ceniony nie tylko w kraju specjalista od multimediów, notabene leśnik z wykształcenia. Ale z fotografią Paweł Młodkowski zetknął się już w dzieciństwie. Rodzice w latach 80. robili kolorowe slajdy enerdowską „Praktiką”, uznawaną wtedy w Polsce za aparat z najwyższej półki. Gdy po złamaniu nogi siedział w domu, mama podsunęła mu książkę o fotografowaniu. Wciągnęło go. To właśnie wtedy zrozumiał, co będzie pasją, treścią jego życia.

Pierwsze fotograficzne laury zdobył w konkursie „Lasu Polskiego”. Zdjęcie pt. „Tarzan” przedstawiało jego brata, biegającego po lesie… nago, w aurze jesieni. Jak tłumaczy dziś autor, odbiegało poetyką od innych zdjęć, ale nie epatowało golizną. Dostał nagrodę. Dziś lista sukcesów jest już naprawdę długa.

POLSKA NA WOLINIE

– Za co się mnie docenia? Może za to, że – patrząc z góry na ziemię – pomagam innym zobaczyć to, czego sami nie mieliby sposobności dostrzec. Na przykład w lodzie, roztapiającym się na jeziorze, ujrzałem – z góry – sylwetkę „uśmiechniętej" ryby piły. Tak, nieustannie szukam obrazów, które nie odzwierciedlają rzeczywistości, lecz ją na nowo kreują.

Poszukiwania obrazów z lotu ptaka przynoszą czasami zaskakujące rezultaty. W sierpniu tego roku latał nad wyspą Wolin. Szukając kompozycji stworzonych przez naturę, wypatrzył drzewostan, jako żywo przypominający mapę Polski i ten widok zatrzymał w kadrze. Można było domniemywać, że to efekt czyichś celowych zabiegów hodowlanych. Ale było to dzieło przypadku – przed 40 laty powierzchnię tę narysował pożar. Sosnę, która przedtem tam rosła, odnowiono siewem. I właśnie owa czterdziestoletnia sośnina tworzy ciemnozieloną plamę na tle jasnozielonego, czterokrotnie starszego lasu mieszanego.

– Ten kształt dostrzegłem dopiero, patrząc pod pewnym kątem. W rzucie pionowym, co potwierdzają mapy satelitarne, odbiega od rzeczywistych konturów naszego kraju. A tak w ogóle, muszę przyznać, las widziany z lotu ptaka mnie nie zachwyca. Nawet jeśli jest wielopiętrowy, wielogatunkowy, z góry wygląda jak zbita, zielona masa, a liściasty przypomina owoc brokułu. Leśny krajobraz urozmaicają czasem rębnie, pozostawione nasienniki, oczka wodne, ale generalnie jest dość monotonny – mówi.

OD EUFORII PO TWARDE LĄDOWANIE

Doskonale pamięta lot, w którym udało mu się skorzystać z wznoszących prądów powietrznych. To było koło Praszki. Po raz pierwszy w życiu wzbił się na wysokość 1500 m, w przyjemnym i ciepłym powietrzu.

– Wokół panowała cisza, fruwały jerzyki. Tego, co wtedy przeżywałem nie da się opisać. Euforia! Czy można się dziwić, że to uzależnia? Codziennie rano zerkam przez okno i oceniam siłę wiatru, czy warunki są lotne? To dzieje się bezwiednie, wynika bardziej z chęci fotografowania niż samego lotu, bo wtedy kalkuluję: co mi umknie, jeśli dzisiaj nie polecę – mówi.

Zdarzyło mu się jednak źle przewidzieć.

Pierwszą kraksę miał pod Wejherowem. Startował z łąki pod lasem. Zbagatelizował warunki atmosferyczne, a przechodził front i mocno wiało. Pod lasem tego nie odczuwał. W górze widoczność była tak doskonała, że zamiast zająć się pilotowaniem, od razu zaczął robić zdjęcia.

– W pewnym momencie skrzydło się złożyło, zawinęło mnie w taśmy i w spirali „korkociągu", zacząłem spadać na ziemię. Na szczęście, udało mi się otworzyć spadochron, do zakupu którego kilka tygodni wcześniej namówiła mnie ciotka. To mnie uratowało. A upadek zamortyzowało zaorane pole. Nie połamałem się, tylko sprzęt trochę ucierpiał – opowiada.

– Wtedy jednak zapaliło mi się w głowie czerwone światełko: uważaj na pogodę, z nią nie ma żartów!

Drugi upadek, niedaleko Nowego Tomyśla, nie skończył się dla pana Pawła miękkim lądowaniem. Wtedy był już ojcem dwuletniej Emilki i półrocznej Gosi. Była zima, śnieg. Robił kolejne zdjęcia dla spółki Autostrada Wielkopolska.

– Pogoda była niezła, ale wybór miejsca startu nie najszczęśliwszy. Było ciasno, a musiałem zrobić nawrót. Wtedy skrzydło zawirowało i spadłem na plecy z około 8–10 m. Przyjechało pogotowie, straż pożarna, wycięli mnie z uprzęży, zawieźli

„Uśmiechnięta" **RYBA PIŁA.**

Fot. Paweł Młodkowski

Z LOTU PTAKA
jesienny las wygląda egzotycznie.

Fot. Paweł Młodkowski

Fot. Eugeniusz Pudlis

PAWEŁ MŁODKOWSKI, ur. w 1975 roku, fotograf „National Geographic Polska", pilot paralotniowy, grafik. Absolwent Technikum Leśnego w Brynku i Wydziału Leśnego Akademii Rolniczej w Poznaniu. Wykonuje zdjęcia z lotu ptaka. Od 2005 r. realizuje autorskie projekty fotograficzne, pokazując Polskę w abstrakcyjnych, przypominających malarstwo lub grafikę, obrazach. Nagradzany i wyróżniany w polskich i międzynarodowych konkursach fotograficznych, m.in. w Wielkim Konkursie Fotograficznym National Geographic Polska, Pilsner Urquell International Photography Awards; Sony World Photography Awards, International Photography Awards, Pix de la Photographie, Moscow International Foto Awards. Juror w Wielkim Konkursie Fotograficznym National Geographic Polska.

do szpitala i po prześwietleniu rentgenowskim stwierdzili tylko stłuczenie – wspomina.

Jednak ktoś z personelu zaordynował badanie tomografem. Okazało się, że ma kompresyjne złamanie kręgosłupa. Mało brakowało, a rdzeń kręgowy zostałby przerwany. Zamiast w domu, unieruchomiony na prawie 2,5 miesiąca, wylądował na szpitalnym łóżku.

OSTATNI LOT?

Przyszłość? Mówi, że w powietrzu dużo się może zdarzyć. A lata lecą, pojawiły się drony, które sprawiły, że rynek usług paralotniarzy bardzo się skurczył.

– Przygotowuję się do chwili, w której powiem: stop, więcej nie lecę. Właściwie bardziej interesuję się obrazem niż lataniem. Nadal będę zajmował się fotografią, także grafiką użytkową, projektowaniem oprawy graficznej różnych wydawnictw, książek – mówi.

Na stole pojawia się książka: „Leśniczowie Nadleśnictwa Gdańsk". Fotografie, rozmówki i oprawa graficzna autorstwa Pawła Młodkowskiego. To syntetyczny portret polskiego leśnika – zakochanego po uszy w swojej pracy, oddanego lasom i przyrodzie. Ta wizytówka multimedialnej pracy pana Pawła zwiastuje, że będzie poszukiwał miejsca dla siebie także poza przestrzenią, z którą się tak związał. Ale czy na pewno się z nią rozstanie?

– Bywa, że klient niecierpliwi się, pogania, a warunki latania są średnie. Decyzja jest trudna, stąpa się po cienkim lodzie. Od niej zależy: wrócę do domu czy nie. I wtedy powtarzam sobie: lepiej siedzieć na ziemi i żałować, że się nie leci, niż lecieć, żałując, że się nie jest na ziemi… ¶

SPOKOJNIE, TO TYLKO TORPOR

eRyś
www.erys.pl

KARP NIEŚWIĄTECZNY

Fot. archiwum Aleksandra Barona

ALEKSANDER BARON
jest szefem kuchni i współwłaścicielem warszawskiej restauracji Solec44. Od ponad dekady zajmuje się gastronomią, realizując w ten sposób swoją pasję. Mówi, że bardzo ceni las, bo jest dla niego nieskończoną inspiracją. Dlatego cieszy się z możliwości pisania dla nas, ludzi kochających przyrodę i tak blisko z nią związanych. Zanim jednak zaczniemy wspólną podróż, poznajcie kilka zasad jego kulinarnej filozofii...

Można powiedzieć, że to nieposzanowana ryba, niechciana, kojarzona ze smakiem mułu. Powszechnie uważana za dość tanią, w związku z tym niespecjalną. Wielokrotnie pisałem, że gdyby karp nie stał się kanonicznym daniem wigilijnym, to byśmy o nim już zupełnie zapomnieli. Może nawet najwięcej dotychczas napisałem właśnie o karpiu? W każdym razie staję w jego obronie!
Bardzo go cenię, choć nieodzownie przywodzi na myśl miejski folklor – trzymanie karpia w wannie.
Dla mnie pozostaje rybą iście królewską. Jej walory staram się zawsze prezentować różnymi sposobami. Wiele ryzykowałem, karmiąc Francuzów polskim dzikim sazanem, bo u nich karp jest jeszcze gorzej traktowany – często jest najwyżej pożywieniem czworonogów. A szkoda, bo jest pełen niepowtarzalnego smaku, jędrnej konsystencji, łatwo przyjmuje aromaty i ma tłuszcz, co dla mnie zawsze będzie największą zaletą. Na resztkach pozostałych po sprawieniu ryby gotuje się dobre wywary, a i galareta stanie bez potrzeby dodawania niewiadomego pochodzenia żelatyny. A karpia głowa to po prostu jeden z moich przysmaków. W głowie jest policzek i tłuszcz. Ten za pokrywą skrzelową – najlepszy! Zacznijmy zatem od głowy.

KARPIE ŁBY WĘDZONE W MAŚLE

Jeśli tylko masz wędzarnię i nie wędziłeś jeszcze masła, to czas zacząć. Wędzone masło można zastosować wszędzie tam, gdzie dotychczas używałeś zwykłego masła plus do kilku innych dań. W tym wypadku wędzi się je przy okazji wędzenia rybich głów i staje się ono nieodzownym elementem tego dania. Ze wszystkich karpiowych odpadków warto przygotować wywar, dodając włoszczyznę, przyprawy: przede wszystkim pieprz, ziele angielskie i liść laurowy.

4 karpie głowy
200 g masła
500 ml rybnego wywaru

Do wędzarni włóż karpie głowy, umieszczone w naczyniu z masłem. Wędź w niskiej temperaturze około 1,5 godziny. Od czasu do czasu polewaj łby masłem. Dopraw solą i pieprzem. Podaj z bulionem. Warto też zatroszczyć się o dobry chrupiący chleb, który – maczany – będzie chłonął masło.

PIERNIKOWA ZUPA KREM

Zupa krem z karpia z przyprawami korzennymi, suszonym jabłkiem, pieczoną cebulą.
Czy ktoś jadł taką potrawę? I to jeszcze z przyprawami korzennymi? Zapewniam, że warto, zresztą jest u mnie w grudniowym menu.

0,6 kg filetu z karpia
0,5 l śmietanki
1 l wywaru najlepiej z karpia, ale jeśli nie mamy, może być warzywny
dwie łyżki masła
dwa średnie ziemniaki
dwie średnie cebule
ząbek czosnku
cztery szczypty cynamonu
cztery szczypty gałki muszkatołowej
dwie szczypty ziela angielskiego
jedna szczypta zmielonych goździków
jedno jabłko

Jabłka najlepiej suszy się przy piecu, przy kominku, ale w wersji mieszkaniowej wystarczy piekarnik nastawiony na 90 st. C – warto jednak zrobić więcej niż tylko jedno jabłko.
W wywarze ugotuj cebulę, czosnek i obrane ziemniaki, następnie blenderem zmiksuj to wszystko na jednolitą masę. Na patelni rozgrzej masło i zacznij smażyć filety, dosyp zmielone przyprawy, po 3 minutach zalej rybę śmietanką i poczekaj, niech się pogotuje przez minutę. Przerzuć zawartość patelni do tego, co już zmiksowałeś i miksuj dalej. Podgrzej, ale nie gotuj. Podawaj z suszonym jabłkiem i paloną cebulą.

FASTFOOD LUB PO PROSTU ŚNIADANIE

Fastfood będzie dopiero wtedy, kiedy uporamy się z ościami. A te są bardzo mocno zakorzenione, trudne do wyjęcia. To największy mankament tej ryby. Ale od kilku lat można na rynku znaleźć filety karpia specyficznie nacinane

Fot. archiwum Aleksandra Barona

– raz przy razie. To rezultat zastosowania specjalnej maszyny, która precyzyjnie usuwa ości. Warto o tym pamiętać, gdy brak cierpliwości mógłby wyeliminować karpia z naszego jadłospisu.

1 filet z połowy karpia
kromka chałki
1 jajo
3 łyżki masła
50 ml octu – najlepiej wiśniowego
dymka
natka pietruszki
tymianek
sól
czarny pieprz

Najlepiej dwie godziny przed smażeniem zamarynuj rybę w occie. Rozpuść na patelni dwie łyżki masła, rozgrzej, ułóż filet. Posyp solą i pieprzem. Zmniejsz ogień, polewaj karpia gorącym masłem, tak aby ścięło białko mięsa również od góry, Zawsze tak smażę filet – jest wtedy rumiany, delikatny, no i zawsze cały. To sposób przyrządzania nieodzowny przy rybach ze skórą. Chałkę zamocz w roztrzepanym jaju. Rozgrzej patelnię z pozostałą łyżką masła. Po minucie chałka powinna być rumiana, przewróć ją wtedy na drugą stronę, dodaj na patelnię dymkę, żeby też się zrumieniła, na końcu posyp natką pietruszki.

CAŁY SMAŻONY KARP Z JARMUŻEM

Od kilkunastu lat obserwuję restauracyjną czy nawet kulturową modę na to, by ryba podana na stole jak najmniej nosiła znamiona ryby. Najlepiej filet, najlepiej bez ości, o głowie już nie mówiąc, czyli bez tego, co niepotrzebnie mogłoby nam przypomnieć, że ryba to też istota żywa.
Nie to, żebym lubił ości, jak chyba każdy za nimi nie przepadam, ale dzięki nim rybie mięso podczas smażenia, pieczenia czy gotowania ma więcej smaku. Poza tym mniej się marnuje przy filetowaniu.
Zamówienie całego karpia w restauracji byłoby o tyle fajne, że może być to danie do podziału przynajmniej między dwie, a nawet 4 osoby, a tu mamy już – znamienne dla biesiady – dzielenie się jedzeniem czy jedzenie ze wspólnych półmisków. Niestety, tyle odwagi, by serwować całego karpia, całą kaczkę czy gęś ma dziś niewielu kucharzy czy restauratorów. Chyba że pojedziemy do Chin lub odwiedzimy Chinatown w którejś z europejskich stolic. Tam wiedzą, co dobre…

karp
dwie garści jarmużu
dwie cebule
100 g suski (wędzona śliwka)
3 łyżki masła klarowanego
1 łyżka masła zwykłego
1 cytryna
dwie łyżki mąki
czarny, grubo zmielony pieprz
grupo zmielona sól

Rozgrzej klarowane masło na patelni. Rybę oprósz mąką z jednej i drugiej strony. Smaż na dużym ogniu około minuty, zmniejsz ogień i znów smaż około sześciu minut. Następnie przewróć i czynność powtórz. Sprawdź, czy karp jest gotowy, delikatnie rozchylając nożem mięso przy grzbiecie – w najszerszym miejscu ryby – zobacz, czy mięso jest już ścięte i czy łatwo odchodzi od ości. Dołóż jarmuż, wędzoną śliwkę, sól, pieprz, wyciśnij cytrynę. Dodaj łyżkę masła, wymieszaj i tak serwuj.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE
DLA WSZYSTKICH SFER SPOŁECZEŃSTWA

Opracowano na podstawie numerów archiwalnych ze zbiorów IBL

WARSZAWA, MARZEC 1938 R.

DRAPIEŻNIKI W ŚWIETLE CYFR

Fot. Antoni Wiśniewski

Jastrząb gołębiarz najwięcej spustoszenia w drobnej zwierzynie czyni w okresie gniazdowania. Młode są bardzo żarłoczne i rodzice muszą rabować co się da.

Do niedawna, jak we wszystkich krajach Europy – tak i wśród naszych hodowców-myśliwych, panowało niepodzielnie hasło tępienia drapieżników, i to zarówno czworonożnych, jak i skrzydlatych. Ten pęd do zabijania wszystkiego, co posiadało ostre pazury albo zakrzywione dzioby, stał się po prostu manią. Ludzie nie interesowali się obyczajami danego zwierzęcia, nie wiedzieli czym się żywi i czy naprawdę na tępienie zasługuje. W bezmyślnym zapamiętaniu mordowali niewinne albo zgoła pożyteczne gatunki i jeszcze płacili straży leśnej strzałowe za ich niszczenie.

Ta błędna droga gospodarki łowieckiej wkrótce zaczęła mścić się na jej niefortunnych propagatorach. W łowiskach przepełnionych szarakami, bażantami i kurami wybuchały groźne epidemie, wobec których hodowcy stali się bezradni. Nie sposób było bowiem wybijać co do nogi wspaniałe zwierzostany, a rozpoznanie sztuk dotkniętych chorobą, zwłaszcza wśród zwierząt nie dających się łatwo obserwować, jak np. szaraki lub kuropatwy – nie zawsze było możliwe. Rozwleczona przez poszczególne sztuki zaraza obejmowała całe gminy, a nawet powiaty. Hodowcy stracili swe wspaniałe zwierzostany i musieli jeszcze wyłożyć spore sumy na walkę z epidemią.

Teraz dopiero, nauczeni tak bolesnym doświadczeniem, zrozumieli, że jednak pewna liczba drapieżników jest nieodzownie potrzebna. Lis, kuna albo jastrząb stanowią najlepszą komisję sanitarną, która wyłapie i uśmierci przede wszystkim sztuki chore, nie mogące ocalić się ucieczką i słabe, wynędzniałe, stanowiące podatny grunt do zaszczepienia wszelkich chorób. Takiej selekcji nie potrafi nigdy przeprowadzić człowiek, gdyż oko ludzkie nie odróżni tak dokładnie chorej sztuki od zdrowej, jak to z łatwością uczyni lis czy gołębiarz. (…)

Stwierdzić też wypada fakt, iż szkody w zwierzostanie, tak pochopnie przypisywane lisom i jastrzębiom, są zazwyczaj czynione przez inne szkodniki, których najczęściej o to nawet się nie podejrzewa. Jeżeli mam wyznać otwarcie, jakie drapieżniki są najgroźniejsze dla leśnych zwierząt, to wymienię w pierwszym rzędzie włóczące się koty i psy, dalej wrony szare i sroki, łasice i tchórze, a dopiero później – jastrzębie i to tylko gołębiarze, oraz lisy.

Każdy hodowca wie doskonale, jaką plagą potrafią być wałęsające się psy i koty, przed którymi nie ostoi się żadne gniazdo ptasie, ani ukryją młode zajączki czy koźlęta sarnie. Jeden zdziczały kot, dniem i nocą dewastujący łowisko, większego dokona spustoszenia w okolicy, aniżeli pięć gołębiarzy. A para wioskowych kundli, polująca samopas po kniei, wytępić potrafi doszczętnie szaraki, a nawet sarny. O ile coś jeszcze ze zwierzyny pozostanie przy życiu – emigruje do tych sąsiadów, gdzie ma zapewniony spokój i ochronę. (…)

Na ogół panuje przekonanie, że spośród skrzydlatych drapieżników najgroźniejsze są jastrzębie. A ja jeszcze raz powtórzę, że najwięcej szkody przynoszą sroki i wrony. Te szkodnice plądrują gniazda z jajami i wyłapują młode, słowem niszczą całe lęgi zwierzyny. (…)

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

ODKRYWAJ TAJEMNICE PRZYRODY

ECHA LEŚNE bezpłatnie,
także na smartfonie i tablecie

Download on the App Store

Google play

NATURA JAK SIĘ PATRZY

OGLĄDAJ ŻUBRY ONLINE NA STRONIE **WWW.LASY.GOV.PL/ZUBR**

PROJEKT LASÓW PAŃSTWOWYCH REALIZOWANY PRZEZ CENTRUM INFORMACYJNE LASÓW PAŃSTWOWYCH I NADLEŚNICTWO BROWSK